Odgłosy tragedii brzeskiej – str. 2.

Nr. 16 CENA 30 GR. ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

NIECH TYLKO MATKI WIECZORNĄ GODZINĄ MÓWIĄ O TYM ZDARZENIU SWYM DZIECIOM, JAK O CIĄŻĄCEJ NA NARODZIE PLAMIE, KTÓRĄ TRZEBA ZMYĆ I EKSPIOWAĆ, ALE NIECH MÓWIĄ SZEPTEM — BO WSTYD!

MARSZAŁEK EDWARD ŚMIGŁY - RYDZ

16 grudnia 1932.

23 maja 1937 WARSZAWA 13 siwan 5697

Brześć

Dane było Brześciowi już po raz wtóry w najnowszych dziejach Polski Niepodległej stać się symbolem straszliwej bezgranicznej krzywdy. Ale Brześć nr. 2. swym nieludzkim okrucieństwem przesłonił w pamięci Brześć nr. 1.

Całą gminę żydowską obarczono moralną, społeczno-polityczną odpowiedzialnością za zbrodniczy czyn jednostki. Prasa polska od „ABC" po „Gazetę Polską" i „Kurier Poranny" uważają to zo rzecz naturalną. Byłoby atoli bardzo pożądane, żeby raz na zawsze zostało stwierdzone drogą urzędowej enuncjacji, co o tym sądzą oficjalni rzecznicy polskiej Sparwiedliwości i polskiej administracji państwowej, chodzi bowiem o zjawisko stale się powtarzające.

Czy lwowscy Żydzi naprzykład byli istotnie odpowiedzialni, gdy niejaki Grotkowski późną nocą, gdzieś w bocznej uliczce został zamordowany w czasie incydentu z jakimś indywiduum z półświatka, rzekomo żydowskiego pochodzenia? Czy istotnie wszyscy Żydzi w Mińsku Mazowieckim byli winni, gdy pewien wachmistrz został zamordowany przez swego byłego podwładnego w obłędzie czy nawet w afekcie zemsty, tylko dlatego, że zabójcą przypadkiem był Żyd? I czy istotnie wszyscy Żydzi w Brześciu ponoszą zbiorową odpowiedzialność za każdy czyn kryminalny każdego żydowskiego nożownika? Bo jeśliby na te pytania dać odpowiedź rozważną, to wtedy nie można przecież dopuścić do samowolnej kary zbiorowej nad całymi gminami żydowskimi, do samosądu, do lynchu nad dziesiątkami tysięcy niewinnych ludzi; wtedy musi być wreszcie położony kres metodzie masowego rozboju i rabunku.

Gazety polskie same przyznają, że „wypadki" trwały od 9 rano do 1 w nocy, a więc 16 godzin i to nie gdzieś w zapadłej dziurze, lecz w mieście wojewódzkim i w warunkach komunikacyjnych XX stulecia.

Ofiary nieszczęśliwego wydarzenia, ś.p. Kędziora, nie pochowano zwyczajnie, jak poległego funkcjonarjusza policji, lecz wyjątkowo uroczyście, jak bohatera narodowego.

Urzędowa P.A.T. pisała o reakcji „społeczeństwa polskiego" przeciw żydowskiemu, jak o postępowaniu naturalnym i usprawiedliwionym, a „Gazeta Polska" wyraziła się zgryźliwie o upakajającej odezwie brzeskiego burmistrza i radnych miejskich.

Wszeteczna teoria zbiorowej odpowiedzialności snać dotarła już tam, gdzie w żadnym razie nie powinna była dotrzeć.

Rząd pono wysłał do Brześcia komisję śledczą. Przed 18 laty, w r. 1919, także wyjeżdżała komisja śledcza — wówczas do Pińska, wysłana przez Sejm, pod przewodnictwem endeckiego posła. Wtedy komisja wykryła całą okrutną prawdę — my i tym razem nic domagamy się niczego innego, jak tylko całej czystej prawdy.

Ale na pytanie: „Kto zawinił?" właściwie już mamy jasną i słuszną odpowiedź. Tylko ludzie dotknięci duchową ślepotą nie widzą ścisłego i bezpośredniego związku między Brześciem a zatrutą atmosferą nienawiści rasowej i szału odżydzania, która zapanowała w kraju, a która zaledwie 4 dni przed krwawym czwartkiem doprowadziła do bezkrwawego pogromu antyżydowskiego na dwóch zjazdach lekarzy i adwokatów, inteligencji polskiej— „mózgu narodu".

*

Jak głos wołającego na puszczy brzmi w tej atmosferze ludzki odzew polskiej prasy socjalistycznej.

W artykule pełnym odwagi i godności wzywa M. Niedziałkowski, by bronić Polski przed przenikaniem do niej obyczajowości i etyki Trzeciej Rzeczy.

Niestety doszliśmy już do tego etapu, gdy taki szlachetny apel zaczyna budzić wątpliwości: polscy rasiści nienawiścią i zdziczeniem prześcignęli swoich niemieckich towarzyszy ideowych. Po zabójstwie hitlerowskiego dygnitarza Gustloffa przez Dawida Frankfurtera, nazi ograniczyli się do napastliwych artykułów w prasie, ale nie zdobyli się ani na jeden pogrom antyżydowski. A nie wolno przy tym zapominać, że czyn chorego Frankfurtera mimo wszystko nosił wszystkie znamiona aktu zemsty politycznej.

Dziś już nie wiemy, kto u kogo może się uczyć obyczajów i etyki antysemityzmu — Brześć u Norymbergii, czy może właśnie naodwrót?...

Dr. M. KLEINBAUM.

(„Hajnt" nr. 114).

Chaim Nachman Bialik

MIASTO POGROMU

Poemat napisany po pogromie w Kiszyniowie 19 i 20 Kwietnia 1903 r.

...Powstań i przejdź się po mieście pogromu,
Ażeby ręka dotknęła i oczy
Ujrzały wszędy — na każdego domu
Murze, na bruku, na kamiennej zboczy
Ścieków, na drzewach, ówdzie na parkanach —
Zeschłego mózgu ślady i o ranach
Mówiące głucho już czerstwe kawały
Czarnej krwi stęgłej, co tutaj padały...

A potem przejdziesz śród ruin: oniemi
Cię widok śmiecia i skorup i pierzy...
Tu i tam wyłom, jak rana się szerzy,
Dla której nie masz lekarstwa na ziemi.

I oto ztamtąd uciekniesz na drogę —
Gdzie białe kwitną akacje — i błogie
Nozdrzami wdychać będziesz aromaty...
Lecz dobrze jeno przypatrz się: toć kwiaty
Są puchem pierzy, krążących na wietrze...
I wczuj się dobrze: — to wonne powietrze
Smród krwi przesyca... A to wkoło szkliwo,
Co płonie w słońcu tęczą — jako żywo! —
Z twego wielkiego bólu się naśmiewa...
Bo Pan zaprawdę przywołał na ziemię
Rzeź razem z wiosną w jednym dniu — i drzewa
Stroiła zieleń, jak niegdyś w Edemie,
I lazur śmiał się... i wraz na ulicy
Czerwoną ucztę święcili rzeźnicy!...
I wzrok odwrócisz — a w oczy ci wpadnie
Podwórzec brudny... tam, na śmieciach, zdradnie
Zabito dwoje: tak! starego żyda
I stare psisko... Zwaliła oboje

Jednym toporem ta sama ohyda...
W tym samym gnoju leżeli we dwoje...
I w krwi obojga nurzały się świnie...
Deszcz zmyje krew tą jutro... Krew ta spłynie
Z deszczem do ścieków — i nie będzie dłużej
Wyła z śmietnika do Boga, a może
Napoi w stepie suchej tarni łoże,
Albo bez śladu zginie w tej podróży,
Co wszystko w otchłań prze — i po staremu,
Jak szło, tak pójdzie wszystko...

Ale czemu

U wrót stanąłeś? Jakiś cień przestrasza
W tej sieni... To nic!... Idź-że na poddasza...
Po tych trzeszczących schodach śmiało idź na górę...
Stanąłeś w mroku... Milczenie ponure
Panuje tutaj... Zda ci się, że w mroku
Jeszcze tu błądzi niemy przestrach śmierci...
Każda szczelina czarna zda się oku
Podobna... Oczu tych spojrzenie wierci
Nawskroś twe serce... Wszystkie czarne kąty,
Wszystkie szczeliny, jak płonące lonty
Milczących oczu ludzkich patrzą tobie
W bladą twarz, w oczy... Tu w ostatniej dobie
Życia siedzieli... Tu zgonu czekali...
Śmierć przyszła do nich — do tej czarnej matni...
Tu się zebrali, aby raz ostatni
W przygasłych źrenic zamroczonej stali
Ach! bez protestu odbić gorycz całą
Tego bezmyślnie okropnego końca
Wraz z męką życia — co nie znało słońca!
Tu się ich kilku po kątach chowało
I z dreszczem strachu w gromadkę stłoczeni
Milczeli... tylko patrząc z pośród cieni,
Jakby rachunku żądając tym wzrokiem,
W którym na zawsze zastygło pytanie:
Z a c o?... I wszystko w milczeniu głębokiem
Trwa... nic żywego w krąg... A! na ścianie
Patrz, oto pająk pracownie się błąka...
On jeden widział... zapytaj pająka...
Jedyny świadek może ci opowie
O rozłupanej toporami głowie —
I o rozprutym brzuchu, w który pierzy
Nabito — i o trupach u oddźwierzy,
Zwieszonych głową w dół, albo wisielce
Opisze inne, gnijące na belce,
Lub gwoździe wbite w nozdrza jeszcze żywe —
Może opowie historje straszliwe
O matce, którą zarznięto zdradziecko,
A na jej łonie zostawiono dziecko,
Co już zimnego trupa piersi ssało,
Albo o innem dziecku, co krzyknęło:
„Mama!" — i znikło, bo dziecięcia ciało
W mig rozerwano!... Teraz spójrz, błysnęło
Tam dwoje oczu, w pomroce poddasza...

Pytają, milcząc: „Gdzież jest wina nasza?!
Serce ci zamrze, pająka powieści
Słuchając — w gardle zdławisz jęk boleści —
Uciekniesz, bojąc się wybuchnąć płaczem,
Ujdziesz ze strychu przeklętego za czem
Znów ujrzysz wszystko, jak było: kwitnące
Trawy — błękitne niebiosa — i słońce,
Które się śmieje bezwstydnie — i ziemi
Posyła uśmiech promieńmi złotemi...
Lecz do piwnicy zajrzyj: tabun cały
Tu pod pomroką wilgotnej powały
Hańbił niewiastv z twojego plemienia:
Przy każdej siedmiu kolejno się zmienia!

Więc siedem gwałtów córce zadawano,
A tuż jęczała matka pod bydlęciem:
A więc hańbiono jeszcze przed zarznięciem,
Hańbiono w chwili, kiedy zabijano,
I po zabiciu hańbiono je jeszcze...

A teraz popatrz — uczuj zgrozy dreszcze —
Tam za tą beczką, pod tą śmiecia górą
Skryci widzieli — ojciec, co się z córą
Działo — i patrzył na to syn, co z matką
Czyniono — bracia patrzyli gromadką
Na siostrę słyszysz, tam schowani, blizcy,
Poprzez szczeliny poglądali wszyscy,
Jak się kurczyły narzeczonych ciała,
Jak ciała żon się wiły w męce...
Ani
Wyjść ni zakrzyknąć nie śmieli schowani,
Nie oszaleli i nie posiwieli
I nie wykłuli sobie oczu... Zgraja
Tych, co w tej klątwy godzinie umieli
Tylko za siebie błagać Adonaja!..
Otworzę
Przed tobą teraz świń i psów mieszkania,
Spójrz! — tam od zmierzchu przez noc, do zarania
I od zarania do zmierzchu siedzieli
Synowie ojców twoich —nędznie drżeli
Ci, co Jehudę mieli za pradziada,
Owi wnukowie lwa — Machabeusza
Siedzieli w świńskim pomiocie... Ich dusza
Trzęsła się w ciałach, jako dusza gada...
A tak w pomyjach, w odpadkach i brudzie,
W chlewisku każdem i w każdej psiej budzie,
W każdej się jamie gnieździło siedmioro!..

Tak Mnie uczcili! — tak Mej czci oporą
W obliczu tłumów i narodów byli!
Zbiegli w rozsypce jak myszy gromada
I jako pluskwy w szczelinach się skryli
I jak psy zdechli!...
O, synu Adama!
Płaczesz... twarz kryjesz dłońmi?... Nie wypada
Płakać... Zębami zazgrzytaj, człowiecze,
I zgiń ze wstydu!..
Lecz ty podążysz dalej... Do wozowni
Za miastem zajrzyj... w pobliżu ogrodu...
Wejdź tam... Posępnym półmrokiem spowite
Drzemią tam wozy, żłoby, koła, w stosy
Złożone — jakby potwory złowieszcze
Zajrzą ci w oczy... Wydadzą się stadem
Dziwnych, olbrzymich, bezkształtnych wampirów,
Już przesyconych ze zmęczenia, krwawą
Orgią pijanych... Patrz! kawałki mózgu
Przywarłe sterczą na kół owych szprychach,
Niby na palcach, wyciągniętych jeszcze,
Gotowych dusić... O, wejdź tam koniecznie.

Oto się zmierzcha... Już słońce zachodzi
W tumanach krwawych, w dymie i w płomieniu...
O! wejdź tam — drżenie bezdennych tajemnic
I zmrok pochłoną ciebie... Przerażenie
I zgroza wszędy... zgroza nieskończona!...
Rozlana tutaj... i do ścian przybita...
Dysze w milczeniu i czuć ją w pomroce...
I pod kołami, zda się, jeszcze ciche
Drganie zostało... niby ciał kawałki
Jeszcze się kurczą w milczącej agonii
I męką swoją te koła podnoszą.
A jęk — osłabły jęk ostatniej męki
Już niewyraźny zawisnął w powietrzu
I niby zastygł... Wieczny ból płomienny
Drży tu dokoła i błąka się w ciszy.

Wsłuchaj się jeno — tu duch niewidzialny
Ale dla czucia pochwytny jest z tobą...
Zmęczony bólem, bezsilny, pokoju
Szuka — daremnie!... I chciałby zapłakać —
Ale nie może... I chciałby szalonym
Rykiem się ozwać — ale milczy... milczy,
W tęsknocie niemej dusząc się bez dźwięku...
Ten duch dziwaczny żałobnemi skrzydły
Oplótł dom rzezi — i twarz pod skrzydłami
Schowawszy cicho, ukrywa ból oczu
I płacze... płacze bezmownie...

. . . . . .

A wszedłszy zamknij drzwi — i stań w tym mroku
I z bólem swoim zlej się cały cicho
I w ból ten wnijdź i upij się do syta
I duszę wykarm nim na całe życie...
Ażeby później — w dni, gdy duszy smutno
I moc jej mdleje — ból ten był ostatnią
Pomocą, źródłem żywiącego jadu —
By szedł za tobą, jak dręcząca zmora,
By pełzał, pełzał, jako cień piekielny,
Dreszcz budząc, byś go poniósł z sobą wszędy
Na kraniec świata... Będziesz dla tej zmory
Imienia szukał, lecz nie znajdziesz w słowie.

Uciekniesz wreszcie z miasta niewolników
Na cichy cmentarz... chyłkiem pod parkanem
Pójdziesz, by drogi twej nikt nie wyśledził.
I sam tam będziesz... I obejdziesz wszystkich
Mogiły... I nad świeżym prochem całe
Godziny będziesz stał...
A Ja milczenie
Nad głową twoją rozciągnę królewskie...
I dusza twoja będzie się tam dręczyć
Wstydem i bólem... Ale nie pozwolę,
Ażeby z oczu twoich łzy spłynęły...
Porywu doznasz, aby wyć i jęczeć
I jak wół ryczeć, ciągniony do rzeźni...
Lecz usta twoje zamknę... Nie zajękniesz...

Oto są owoce ofiarne!.. Wylano
Krew ich... A czem-że ich zgubę opłacę?!..
Nędzarze!... Bóg Wasz jest także nędzarzem!

Nędzarzem był już za waszego życia
I jest podwójnym nędzarzem od chwili,
Gdyście umarli... Więc mąk nie zapłaci...

O dzieci! jakże gorzko Mi tej chwili
I jak boleję za was!.. Straszną prawdę
Usłyszycie: ani wam, ni Mnie zarówno
Jest niewiadomem, za coście zginęli
I w imię czego... Jako życie wasze,
Tak wasza śmierć — bezmyślnie - bezcelowa!...

W tumanach czoło ukryłem — Ja, Bóg Wasz —
Z bólu i wstydu ukryłem me czoło...
W pomroce nocy schodzę niewidzialny
Ku grobom waszym... Lecz nad mogiłami
Łzy nie uronię nigdy — klnę się Sobą:
Bo ból był wielki, lecz i hańba wielka,
A co z nich większem, ty sam, o człowiecze,
W skupieniu duszy rozstrzygnąć winieneś;
Lub zgoła lepiej odpowiedz milczeniem,
A przeczekawszy, powiedz im jedynie,
Żeś nie w żałości Mnie zastał, lecz w gniewie
Żeś we wściekłości Mnie ujrzał. Z nieznośnych
Cierpień mych źródła zabierz cząstkę z sobą
I wlej im w serca... i z mojego sromu
Naukę weźmij i rzuć im na ciemię,
Jako ciężkiego młota uderzenie...
A nim odwrócisz kroki swe od mogił,
Wiosennej trawki przyjrzyj się kobiercom;
Schyl się i narwij z mogiły garść trawy
I rzuć za siebie i wymów, rzucając:
„Stał się mój naród, jak zielsko wyrwane,
„I nie masz więcej dla niego nadziei!"

Ztamtąd do domów zawróć swoje kroki,
Gdzie lud się modli — zmęczonego ludu
Wysłuchaj jęków — a do szpiku kości
Dreszcz cię przeniknie — bowiem tak łkać może
Tylko to plemię, które już na wieki
Zginęło!.. Ale powiedz, czy w istocie
Do cna zmarniało w nich ziarno mściwości,
I oburzenia i wstydu i buntu?!
Czy z bólu ran swych nie umieli nawet
Zakląć namiętnie?...
Słuchaj! kłamią, kłamią
Twoi rodzeni bracia — ich modlitwa
Jest cała kłamem, ich łzy są oszustwem!
W pierś się biją — i szlochacie głośno,
Krzyczycie w żalu do Mnie: „myśmy grzeszni!"
Lecz czyż u prochu, u ruin, u śmiecia,
U ścierwa — można jakieś winy znaleźć?
Srom czuję za nich — ich łzy są mi wstrętne...
Krzyknij im głośno, by klątwy zagrzmiały
Przeciwko Mnie i przeciwko niebu, ziemi —
By w odpowiedzi na męki pokoleń
Klątwy się wzniosły ku wyżom niebieskim
I jak huragan zatrzęsły mym tronem!

Bom przeto właśnie zamknął, o człowieku,
Jęk w twojem gardle — abyś łez twych wodą
Nie shańbił bólu twoich niemych cierpień
I święty ból ten zachował nietkniętym.
Wypieść go, uchroń drożej, niźli skarby,
I zamkiem zamknij go na twoich ustach.
Zrób mu zaporę z nienawiści piekła,
Nie karm go niczem innem, prócz trucizną
Krzywd i ran twoich i obelg — i czekaj!...

Niech wzrośnie ziarno wypielęgnowane —
Da kiedyś owoc — płomienny i pełny
Żrącego jadu — a w godzinie onej,
Która wybije, gdy się czas dopełni,
Zerwiesz ten owoc — i rzucisz go w naród!

A jutro jeszcze — wstań i pójdź na place —
Ujrzysz ich: dzisiaj te resztki człowiecze
Okien bogaczy czepiają się chciwie
I wykrzykują jękliwie swe rany,
Jako swój towar handlarze wędrowni.
Patrzą pobitych niewolników wzrokiem
Bogaczom w ręce — czekając jałmużny
Za swoją hańbę....
Biegnijcie-ż na cmentarz!
Z pod ziemi kości swych dziadów wykopcie
I czaszki synów swych pomordowanych.
Nieście na rynek, rozłóżcie, jak towar,
Na widnem miejscu, by wpadały w oczy
I zaśpiewajcie swój motyw żebraczy,
O litość ludów błagając pokornie
Na starą modłę, z wyciągniętą ręką!

. . . . . .

Co tobie do nich? Zostaw ich, człowiecze,
Powstań i biegnij hen w szerokie stepy...
Tam w samotności wreszcie drogę otwórz
Łzom swoim gorzkim — i tam o kamienie
Bij biedną głową — i gniewem bezsilnym
Gorejąc, włosy rwij na głowie, szlochaj
I jako zwierzę wyj — a burza schłonie
Szalony jęk twój swym szyderczym śpiewem!

Przekład LEO BELMONTA.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

BRZEŚĆ 13 MAJA 1937.

Dwa podobne wydarzenia — dwie różne reakcje

„Kurier Warszawski" z 15 maja b.r. donosi:

Wydarzenie pierwsze:

„Dn. 28 lipca ub. r. czterech złodziejów okradło w Lidzbarku skład skór Mojżesza Vogla. Stróż nocny, spostrzegłszy kradzież, sprowadził posterunkowego Sikorę, który ujął złodziejów i sprowadził ich do komisariatu. Podczas rewizji jeden z aresztowanych dobył rewolweru i strzelił do Sikory, który po kilku minutach zmarł. Zabójcą był karany już wielokrotnie Franciszek Więckowski z pow. brodnickiego".

Reakcja pierwsza:

„Dn. 14 b.m. odbyła się rozprawa przed Sądem Okręgowym w Brodnicy. Więckowski skazany został za kilka przestępstw na 22 lata więzienia oraz za zabójstwo posterunkowego Sikory na karę śmierci i utratę praw na zawsze".

Wydarzenie drugie:

Oficjalna P.A.T. donosi:

„Dn. 13 maja w Brześciu n/B. o godz. 7.30 rano podczas zajmowania partii mięsa z nielegalnego uboju, został ciężko raniony nożem funkcjonariusz policji Stefan Kędziora. Jako sprawcę zadanych ran wskazał on na rzezaka Ajzyka Szczerbowskiego, którego Kędziora ciężko już raniony w obronie własnej postrzelił w nogę. Kędziora po przewiezieniu do szpitala zmarł".

Reakcja druga:

„Morderstwo dokonane na osobie policjanta Kędziory wywołało odruch antyżydowski społeczeństwa polskiego w Brześciu n/B. W mieście w kilku punktach zostały wybite szyby w sklepach żydowskich. Na rynku część straganów żydowskich została zniszczona. W kilkunastu wypadkach poturbowano Żydów i chrześcijan".

Franciszek Więckowski z powiatu brodnickiego i **Ajzyk Szczerbowski** z Brześcia n.B., choć w bardzo odmiennych okolicznościach, popełnili jednakie przestępstwa: targnęli się na życie funkcjonariuszów policji w czasie wykonywania przez nich obowiązków służbowych. Przestępstwo pierwsze spotkało się z **reakcją prawną** instytucji powołanej do wymiaru sprawiedliwości — przestępstwo drugie z **„odruchem antyżydowskim** społeczeństwa polskiego w Brześciu n.B." Za przestępstwo pierwsze poniósł odpowiedzialność **winowajca** — za przestępstwo drugie: poniósł odpowiedzialność **zbiorową ogół żydowski** w Brześciu.

Tych kilka analogii i różnic — charakteryzuje najwymowniej tragedię, która w czwartek 13 maja 1937 r. rozegrała się w Brześciu n. B.

Przeciw odpowiedzialności zbiorowej

Z pośród czołowych organów polskiej opinii publicznej — jedynie **„Robotnik"** stanął w sprawie „brzeskiej" na gruncie elementarnej dla kultury i etyki europejskiej zasady niepociągania do odpowiedzialności ogółu za winę jednostki. **Mieczysław Niedziałkowski** pisze:

„Proszę pomyśleć spokojnie, poprostu po ludzku.

W Brześciu rzeźnik Żyd, Ajzyk Szczerbowski zamordował posterunkowego policji, Stefana Kędziorę. Kędziora zatrzymał Szczerbowskiego przy przewożeniu mięsa niestęplowanego. Szczerbowski popełnił zbrodnię; poniesie zasłużoną karę. Okoliczności zabójstwa wyjaśni śledztwo.

Ale... w Brześciu doszło do rozruchów antyżydowskich na wielką skalę, a prasa „narodowa" wraz z „sanacyjnym" „Kurierem Porannym" (redagowanym przez niedawnych wybitnych działaczy Obozu Wielkiej Polski p. Romana Dmowskiego) zrobiła z morderstwa kryminalnego... sprawę żydowską.

*

Pomyślcie spokojnie, po prostu, po ludzku.

Jest fakt. Rzeźnik-Żyd zabił posterunkowego—Polaka. Wyciągnijcie stąd taki wniosek: oto wszyscy Żydzi w Polsce — i straganiarz w Brześciu, i dzieciak w chederze wileńskim, i adwokat w Warszawie, i redaktor dziennika żydowskiego w Łodzi, i kupiec żydowski w Krakowie — wszyscy oni aż do Polaków wyznania mojżeszowego włącznie są winni temu, że ów Ajzyk Szczerbowski zamordował posterunkowego Kędziorę.

Bądźcie logiczni.

Bandyta - Polak zamordował gdzieindziej posterunkowego. Czy ja, redaktor „Robotnika", mam za to odpowiadać? Czy ma odpowiadać p. Miedziński, kierownik „Gazety Polskiej" i redaktor „ABC" i kupiec-Polak i adwokat-Polak w Krakowie i kolejarz-Polak w Poznaniu?...

Wszak nie ma dwóch logik i dwóch etyk? Wszak nie ma w Polsce „odpowiedzialności zbiorowej" członków danego środowiska społecznego, narodowego czy wyznaniowego za czyn jednostki?

Po co, po co to świadome paskudne jątrzenie, takie dalekie od poczucia prawdy, od poczucia elementarnej sprawiedliwości..

Kronika wypadków kryminalnych wyliczy bez trudu kilkadziesiąt conajmniej wypadków w ciągu niewielu lat rzucania się właśnie rzeźników (bez względu na wyznanie i narodowość) na przedstawicieli władzy państwowej, którzy kontrolują rzeźnie. To są rzeczy znane.

To też są zagadnienia, powiedzmy — zawodowe. Specjalny stan nerwów, warunki pracy. Sposoby uboju i t. d., i t. p.; istnieje cała literatura na ten temat.

Ale wszystko to razem wzięte nie ma nic wspólnego ze sprawą akurat żydowską. Moralność zaś polska prawdziwie nie zaakceptuje nigdy tej koncepcji „odpowiedzialności zbiorowej" (narodowo-żydowskiej czy wyznaniowej?), którą zaprodukował społeczeństwu polskiemu „Kurier Poranny" w „jednolitym froncie" z prasą Str. Narodowego i O.N.R.

Trzeba bronić Polski — bronić wszystkimi siłami — przed przesiąkaniem do niej obyczajowości, etyki, psychologii „Trzecej" Rrzeszy".

Obyczajowość—etyka — psychologia

„Obyczajowość, etyka i psychologia „Trzeciej" Rzeszy" — przed którymi przestrzega Polskę M. Niedziałkowski, zdążyły się już jednak przeszczepić na grunt pojęć i reakcji pewnych części społeczeństwa polskiego.

Zacznijmy od głosów oficjalnych i półoficjalnych. Cytowany już przez nas pierwszy oficjalny komunikat **P.A.T.** wydarzenia brzeskie określa mianem „odruchu antyżydowskiego **społeczeństwa polskiego** w Brześciu n. B." (podkreśl. nasze—red.). A więc to, co działo się w Brześciu n. B. w czwartek 13 maja i w nocy na piątek, nie było dziełem zbrodniczych elementów, podjudzonych wyrostków i otumanionej biedoty — ale właśnie **społeczeństwa polskiego?** Nawet nie pewnego odłamu mieszkańców, nawet nie części ludności— ale tylko **społeczeństwa?** Bo przecież **społeczeństwo** — to najwyższe określenie kulturalnej i zorganizowanej zbiorowości ludzkiej, **znacznie więcej niż ludność**, czy mieszkańcy. Czemuż więc P.A.T. tak bardzo pospieszyła się z zastrzeżeniem autorstwa Brześcia dla społeczeństwa polskiego?

„Kurier Poranny" pod pierwszym wrażeniem Brześcia pisze pod odresem żydostwa polskeigo:

„Sprawa żydowska w Polsce znajduje się w fazie ostrej i drażliwej. Jej załatwienie i uregulowanie wymaga wielkiego spokoju i opanowania. Z tego nie zdaje sobie jednak sprawy wielu Żydów, zajmując systematycznie w prasie i w wystąpieniach zewnętrznych postawę zaczepną i drażniącą w stosunku do Polaków.

W tej stale podniecanej przez nich atmosferze zrodziła się potępienia godna zbrodnia w Brześciu n. Bugiem. Ugodzony został stróż bezpieczeństwa w państwie i wykonawca prawa, na którego poszanowaniu Żydom przede wszystkim zależeć winno. Chyląc czoła przed zwłokami post. Kędziora, nie mamy zamiaru nadawać wydarzeniom, jakie następnie miały miejsce w Brześciu nad Bugiem nadmiernego znaczenia, pragniemy wszakże przestrzec Żydów, że oczywiście na nich musiałyby spaść następstwa stosowanej przez nich lekkomyślnie metody prowokacji".

A teraz **„Gazeta Polska"**. W niedzielnym numerze sanacyjnego oficjozu przedrukowano odezwę **chrześcijańskich** członków Zarządu Miejskiego i radnych Brześcia (nawiasem: odezwa wydana zbyt późno). **Podobnie, jak artykuł** M. Niedziałkowskiego, treść odezwy jest **uczuciowa,** bo staje na gruncie elementarnych zasad, obowiązujących społeczeństwa cywilizowane:

„Obywatele! W dniu 13 maja 1937 r. stał się Brześć n. Bugiem widownią zajść niegodnych wielkości i kultury narodu. Nieodpowiedzialne jednostki uznały się uprawnione do wymierzenia samosądu nad współmieszkańcami naszego miasta, którzy w niczym nie zawinili w smutnym i bolesnym wypadku zabójstwa funkcjonarjusza Policji Państwowej. Najmocniej potępiając zabójstwo ś. p. Stefana Kędziory, wyrażamy oburzenie i żal, że część mieszkańców miasta dała posłuch wrogom ładu i mocy państwowej, niszcząc i grabiąc mienie innych. Apelujemy do ogółu mieszkańców miasta, by w spokoju wrócili do codziennych swych zajęć i zgodnego współżycia z innymi. Nie dawajcie posłuchu rozmyślnie rozsiewanym kłamliwym plotkom. Nie pozwalajcie się podniecać ludziom złej woli".

Nie wszystkim jednak spodobały się te słowa. Korespondent „Gazety Polskiej" zdołał bowiem zauważyć, że „treść odezwy wywołała na ludności niekorzystne wrażenie". Na jakiej ludności? Czy to na tym „społeczeństwie" z depeszy P.A.T.?

Na marginesie tych oficjalnych i półoficjalnych „definicji" słusznie pisze „Folkscajtung":

„To „społeczeństwo" składało się z kilkuset ludzi — mieszaniny podejrzanych elementów, braci ideowych morderców na Smoczej oraz z ciemnej, podjudzonej biedoty. I oto tenże zbrodniczy motłoch, który kilka dni temu zaszczycony został mianem „społeczeństwa polskiego", dziś określany jest jako „ogół ludności", który jest niezadowolony z odezwy. Występująca tu tendencja, jest wyraźna i — musimy to jasno powiedzieć — zdecydowanie zbrodnicza: usiłuje się przedstawić kryminalne wystąpienia O.N.R.-owskich agitatorów pogromowych jako wyraz gniewu ludu, a w zamaskowanej formie potępia się nawet spóźniony apel radnych, by nie słuchać ciemnych podżegaczy".

Rekord wszakże (jak zwykle!) pobiło wileńskie „Słowo" p. Mackiewicza, drukując epicki opis rozruchów , którego „próbkę" dajemy niżej:

„Ogromny robotnik bez złości, ale ze spokojną stanowczością na twarzy, przy pomocy trzech kobiet, wyrzucał z wystawy piękną czeczotowatą szafę... Gdzieś zawyła syrena. Pożar. Przez ulice z rykiem klaksonów przemknęły auta strażackie. Brześć huczał grozą gniewnych krzyków tłumu i dzwonił na alarm dźwiękiem tłuczonych szyb. To, co się tu dzieje przekroczyło już dawno ramy Przytyku".

„Zapytałem jakiegoś kolejarza spokojnie obserwującego ulicę, co o tem myśli.

— Nie wiem panie, dla mnie to jest i brzydkie i wzniosłe..."

Obyczajowość — etyka—psychologia...

Sześciokroć wyższy obrót i 10 % rabunku

Nawet poważna **„Gazeta Polska"** nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia spostrzeżenia, którego udzuciowe zabarwienie nie przedstawia żadnej wątpliwości:

„W mieście czynne są tylko sklepy chrześcijańskie. Do późnego wieczora panuje w nich nadzwyczajny ruch. Przy piekarniach stoją kolejki".

Na tenże temat **„Wieczór Warszawski"** pisze zupełnie otwarcie i cynicznie, cytując charakterystyczną rozmowę z polskim kupcem:

„— Jak odczuł Pan ostatnie wydarzenia?

— Tak oto. Normalnie sprzedaję za 20—30 zł. dziennie, dzisiaj zaś — przeszło 140 zł.

Tenże „Wieczór Warszawski", który początkowo zapewniał z miną świętoszka, że rabunków w ogóle nie było, teraz przyznaje, że owszem, ale stanowiły one „ausgerechnet"... 10% towarów zniszczonych. Czytamy tam dialog z policjantem:

„— Czy były wypadki rabunków?

— Sądząc po wielkiej ilości zniszczonych towarów i zdemolowanych sklepów, można powiedzieć, że było mało takich wypadków. W każdym razie nie więcej niż 10%".

Z gruntu inaczej wygląda sprawa w relacji **„Naszego Przeglądu":**

„Dopiero w późnych godzinach wieczornych, kiedy bandy, które początkowo składały się przeważnie z młodzieży szkolnej i kobiet, wzmocniły się, mając do pomocy starszych mężczyzn — poczęto rabować sklepy żydowskie.

Na ul. Dąbrowskiego wielki magazyn manufakturowy Pomeranca został obrabowany na sumę przeszło 200.000 zł.

U Mielnickiego rozgrabiono towary wartości 40 tysięcy złotych.

Doszczętnie rozgromiony został magazyn gotowych ubiorów Rozenbluma.

Dalej obrabowano: magazyn rowerów, szereg magazynów jubilerskich, wszystkie apteki i składy apteczne, galanteryjne, składy apteczne, galanteryjne, kolonialne, spożywcze, sklepy z materiałami piśmiennymi, składy futer, magazyny mebli, lokale instytucyj społecznych jak „Jeas" i inne",

„Straty, według pobieżnych obliczeń przekraczają milion złotych".

Któż więc ma rację — „Wieczór Warszawski" czy „Nasz Przegląd". A może oba pisma mają rację, tylko że to, co „Nasz Przegląd" podaje jako zrabowane, stanowi właśnie 10% mienia i towarów **zniszczonych?**

Głosy... „poważne"

Po „epickich" opisach w rodzaju „Słowa" i po „dialogach" w stylu endeckich popołudniówek rozległy się „poważne" głosy endecko-sanacyjnej prasy. Głosy te celowo zaliczyliśmy do jednej kategorii, bo niczym się wzajemnie nie różnią.

„Warszawski Dziennik Narodowy" — organ **Stronnictwa Narodowego** pisze:

„Wydarzenia w Brześciu oraz w innych miejscowościach zmuszają nas do jak najbardziej energicznego przystąpienia do kolonizowania miast i miasteczek, wyparca z nich Żydów i nadania im czysto polskiego charakteru. Czas nagli!"

„Kurier Poranny" zgleichschaltowany pisze:

„Świadomość konieczności uregulowania w sposób pozytywny sprawy żydowskiej jest w społeczeństwie naszym powszechna. I Żydzi popełniają błąd, nie chcąc faktu tego dostrzec i nie chcąc do niego ustosunkować się w sposób właściwy. Negatywne odnoszenie się wielu polityków żydowskich do samego zagadnienia żydowskiego jest szczególnie szkodliwe i niebezpieczne dla masy żydowskiej. Wszystko wskazuje na to, że byt jej w Polsce będzie się pogarszał. Obowiązkiem polityków żydowskich, obdarzonych poczuciem odpowiedzialności, jest zatem znalezienie sposobów rozmieszczenia masy żydowskiej w innych stronach, łącząc to zresztą ze słusznymi postulatami państwowymi Żydów".

Dwa obozy — dwa głosy. **Podobieństwa?** Liczne. I tu i tam ani śladu potępienia wydarzeń brzeskich — i tu i tam ton oskarżycielski nie w stosunku do winowajców, lecz ofiar — i tu i tam posługiwanie się tragedią brzeską, jako odskocznią propagandową dla wyparcia Żydów z Polski. **Różnice?** Żadne.

Nie wszyscy!

Nie całe jednak społeczeństwo polskie— to endecja i sanacja. Nawet w czasie tragedii brzeskiej były tego dowody. Dalecy jesteśmy w tych żałobnych chwilach, które przeżywamy od wysnuwania zbyt śmiałych; zbyt optymistycznych wniosków z zachowania się jednostek czy grup polskich, które, niestety, pozostały tylko wyjątkami — ale z drugiej strony nie pozwolimy, by autorstwo Brześcia przepisywać **całemu** społeczeństwu polskiemu.

Wyjątki, o których mówimy, nie były przypadkowe. W kilku wypadkach **robotnicy** polscy przeciwstawili się pogromszczykom, **chłopi** zaś nie wzięli udziału w rabunkach. O zachowaniu się tych ostatnich czytamy w żydowskiej prasie codziennej:

„I charakterystyczne, że mimo, iż w pamiętny czwartek było w mieście wielu chłopów, żaden z nich jednak nie wziął udziału w zajściach. Zaraz potem, kiedy się rozpoczął pogrom, chłopi natychmiast opuścili miasto wraz ze swoimi wozami."

A więc pamiętajmy: **endecja i sanacja,** ale z drugiej strony: **robotnicy i chłopi.**

Brześć po „wydarzeniach"

Socjalistyczny „Dziennik Ludowy" ogłasza reportaż z Brześcia:

POBOŻNY BRZEŚĆ.

„Przybywam do Brześcia po południu. Długi most, wiodący z dworca do miasta ponad torami kończy się wreszcie. Pierwsza ulica. Bacznie oglądam narożny dom: nic szczególnego. Plakaty kinowe, stare afisze teatrów. Gdzieś wyrasta na tym jaskrawym tle biało - czarna klepsydra, wzywająca na pogrzeb zabitego wywiadowcy policji Kędziory.

Domy. Zaraz przy drugim z kolei rzuca mi się w oczy postawiony między podwójne okna krucyfiks. W innym oknie — za szybą zatknięty obrazek religijny. Pierwszy sklep. Na wystawie kartka ręcznie pisana: „sklep chrześcijański". Na podłużnym szyldzie obok drzwi poprzez okropne malowidła bułek i kiełbas — grubo nakreślony krzyż. Brześć spobożniał. W każdym oknie, na każdej wystawie obrazki świętych lub krzyże. A oto pierwsze okno, gdzie ich niema. Nie ma także i szyb. Nie ma ram. W ogóle nie ma okna. Jakieś połamane deski udają, że bronią dostępu do ciemnego wnętrza mieszkania. A dom to jednopiętrowy, drewniaczek, w jakich mieszka zwykle pracująca biedota.

Zagłębiam się dalej w ulicę. Ciche, boczne ulice Brześcia. Wyglądają jakby przeszedł przez nie orkan. Ale orkan, który ominął wystawy i okna z kartkami „sklep chrześcijański" czy „mieszkanie chrześcijańskie".

PACHNĄCY BRUK.

Skręcam w szerszą ulicę. Szereg sklepów, zabitych deskami. Tu i ówdzie, strzępią się potrzaskane szyby, chwieją podarte blachy szyldów. A wśród nich nietknięte lśnią gładkimi szybami wystawy z obrazkami lub wyżej wymienionymi napisami.

Nagle nozdrza uderza ostry zapach perfum, wody kolońskiej i pudru. Pod stopami zgrzyta miałko utłuczone szkło. Spoglądam w bok na sklep i czytając szyld „Skład apteczny" orientuję się, że to pachnie... bruk. Bruk nasycony 24 godziny temu wonnymi płynami z rozmaitych butelek. Bruk mieni się także kolorami „Rachel 2", „Ocre", "Rose" — to zwykły pospolity kurz wyręczają dziś paryskie pudry.

5 ZŁ. ZA SEMICKI NOS.

Na znajomych dobrze ulicach nie spotykam ani jednego Żyda. Po kilku minutach mógłbym się założyć o 5 zł. z kimś b. spostrzegawczym, że nie dostrzeże ani jednego semickiego nosa. I wygrać. Ludność żydowska znikła z ulic.

ROZJECHAŁA SIĘ...

Zdziwieni, niepewni chodzą ludzie po ulicach. Na jakimś rogu pikieta policji: na czterech składanych krzesełkach siedzą policjanci. Na karabinach bagnety. W tej chwili ponuro wyje syrena auta zmotoryzowanej rezerwy policji z Golędzinowa.

Wreszcie docieram do znajomych. Jesteśmy sami, w ich własnym domu, a jednak półszeptem toczy się rozmowa o rzeczach strasznych. Płynie opowieść o owych okropnych godzinach czwartkowego popołudnia i wieczora.

CUD I CEGŁY.

W mieszkaniu, gdzie jestem leży 11 kamieni i cegła. Ta ostatnia jest najmniejsza z „ładunku", który przybył tu przez okno. A przecie to mieszkanie, z rozbitą kamieniami maszyną do szycia uważane jest za „cudem ocalone".

Jestem znowu na ulicy. Parne, wilgotne powietrze. Policzki pali mi rumieniec wstydu, bo przecież jesteśmy w Polsce.

Długa, Sienkiewicza, dziesięć innych — wszędzie ten sam obraz okropnego, dokładnego zniszczenia. Grajewska — na której rąbano ściany domów i pobito dwie młode zakonnice chrześcijańskie, usiłujące obronić starą Żydówkę przed ciosami, Kobryńska — ulica biedoty, gdzie z żydowskich mieszkań zabierano nawet garnki kuchenne. Ohyda!

SPOKÓJ PANUJE W BRZEŚCIU.

Dziś od rana jest już spokojnie. Straż ogniowa uprzątnęła ślady pogromu z ulic.

Doktorzy w szpitalu opatrują poranionych i pobitych Żydów. Gdzieś policja znalazła skryte w psiej budzie cztery płaszcze, radioodbiornik, poduszkę i pudło landrynek. Taszczą to teraz nieporadnie. W Brześciu panuje spokój. Zwiedzam jeszcze kilka ulic, kilka dziesiątków sklepów, mieszkań. Widzę pocięta w kawały pościel, porozbijane na drobny mak sprzęty. Widzę kilkukilowe kamienie, które rozbbijały okna żydowskich mieszkań na 2 i 3 piętrze.

„Wieczór Warszawski" pisze, nie siląc się nawet na maskowanie ożywiających go uczuć:

„Pierwszego żydowskiego mieszkańca Brześcia spotykamy po dwukilometrowej przechadzce. Jest to stary, drobny chasyd, który bez przerwy trzęsie głową.

— Niech pan popatrzy, co uni zrobili. Zieby nawet otworzyć sklep — nie byłoby z czym handlować...

Rzeczywiście. Sklepy są tak wymiecione z towaru, jakgdyby ich właściciele wynieśli się zupełnie. Ale rozbite szyby, wyłamane okiennice, porąbane półki i nawet mury poodbijane świadczą o tym, że to nie właściciel, a jakaś obca siła z impetem działająca, dokonała tego spustoszenia.

Także **„Goniec Warszawski"** nie sili się na sztuczny smutek:

„ODDŁUŻONE" MIASTO.

„We wszystkich magazynach żydowskich demonstrujący niszczyli księgi handlowe, oraz darli i wyrzucali na ulice pliki weksli. Były to wksle wystawione na zobowiązania ratalne przez mieszkańców miasta. W ten sposób Brześć gruntownie „oddłużono".

Na ulicach Brześcia stały liczne kioski żydowskie z cukierkami i wodą sodową. Z kiosków tych nie ma ani śladu, tylko rozkopana ziemia wskazuje punkty, gdzie były. Na jednym z przedmieść w drewnianym parterowym domu mieszkała rodzina żydowska. Tłum przyszedł przed dom i kazał Żydom opuścić go natychmiast, po czym całe urządzenie domu zniszczono, a dom rozebrano do fundamentów w ciągu 15-tu minut".

Do historii żydowskiej martyrologii przybyła nowa karta: Brześć 1937. .....

MOJŻESZ KLEINBAUM

„Podpalimy ziemię płomieniem zieleni...”

(Uryuki z dziennika podróży po Palestynie)

Dużo fałszywych pojęć o Palestynie zakorzeniło się wśród Żydów w Polsce. Ale najfałszywsze i najdalsze od rzeczywistości jest nasze wyobrażenie o stanie bezpieczeństwa i o stosunkach żydowsko-arabskich w życiu codziennym. Agencje telegraficzne, zarówno prywatna ŻAT, jak i urzędowy PALCOR, notują skrzętnie każdy wypadek zakłócenia spokoju i porządku, nie usiłując wcale uwydatnić, że już od szeregu miesięcy wypadki te nie są bynajmniej charakterystyczne dla stanu bezpieczeństwa w kraju, a stanowią raczej sporadyczne i wyjątkowe zaburzenia zupełnie już unormowanego i uspokojonego życia. Gdy w Warszawie czytamy raz na parę tygodni o strzelaninie pod tą czy ową kolonią żydowską, reagujemy zwykle westchnieniem: „znów niespokojnie w tej Palestynie!“. A tu sobie jeżdżę przeszło 2 tygodnie po całym kraju, zwiedzam najodleglejsze i najniebezpieczniejsze okolice, i ani sam nipokoju nie odczuwam, ani go nie spostrzegam w swym otoczeniu. Gdy przed dwoma z górą laty przejeżdżałem przez Nablus (a byl to przecież okres bezwzględnego spokoju), wyrostki arabskie powitały nasz samochód kamieniami. Teraz, po roku wojny domowej, nie zetknąłem się z żadnym nieprzyjaznym odruchem, mimo że auto moje zatrzymało się w najbardziej „neuralgicznych“ punktach arabskich, w Dżenin i w Nablus, mimo że przejeżdżałem wielokrotnie przez Tulkerem i Kalkilię, przez Ramle i Liftę, mimo że zwiedziłem stare miasto Jerozolimy i arabską dzielnicę Haify Oczywiście, pozostała jeszcze między Żydami i Arabami po krwawych tygodniach i miesiącach nieufność i tendencja wzajemnego unikania się (Jaffa nadal jest omijana przez Żydów — i słusznie — jak miasto zadżumione); ale jednakowoż na ulicach miast, w pociągach, w urzędach ocierają się o siebie Żydzi i Arabowie, i nie wyczuwa się przy tym, żadnego napięcia, i pojmują to zjawisko ustawicznego stykania się ze sobą, jako konieczność nieuniknioną, jako niezłomne prawo życia na tej ziemi. Ciekawy objaw zauważyłem na pięknych asfaltowanych szosach palestyńskich: szoferzy żydowscy i arabscy sygnalizują sobie umówionymi znakami niebezpieczeńswo w postaci brytyjskiego policjanta na motocyklu, kontrolującego szybkość samochodów i zapisującego grube kary za przekroczenie przepisów jazdy. Ścisłą „kooperację“ żydowsko-arabską w tej „dziedzinie“ niektórzy optymiści chcą traktować jako zapowiedź zgodnej akcji Żydów i Arabów przeciw Anglikom w przyszłości, zwłaszcza, że szoferzy byli po obydwu stronach bardzo zaangażowani w czasie krwawych rozruchów.Ale najskrajniejszy nawet sceptyk i pesymista musi na podstawie obserwacji bezpośredniej życia palestyńskiego dojść do wniosku, że ludność pragnie spokoju i jest do zgody zdolna, i że można w tym kraju zapewnić bezpieczeństwo, jeśli się tylko tego chce.

Jacy inni są ci Żydzi w Palestynie! Jacy spokojni i zrównoważeni, niemal że dostojni w tej pewności siebie! Wiedzą przecież, że czyhają niebezpieczeństwa polityczne, ale z jaką zimną krwią oni przyjmują każdą wiadomość z Londynu o tej czy innej koncepcji Komisji Królewskiej. Zniknęła owa nerwowość i podatność na sensację i przesadę, cechująca Żyda z ghetta, — wystąpiły natomiast inne czynniki w psychologii zbiorowej: wola i odpowiedzialność. Zła wiadomość nie podnieca do krzykliwej reakcji, ani nie działa przytłaczająco i przygnębiająco, lecz budzi opór i upór. Przeszkoda, katastrofa, strata? — Żyd palestyński nie załamuje rąk, zaciska zęby i bierze się do roboty ze zdwojoną siłą. Religią odrodzonego Żyda w Erec Izrael jest OBOWIAZEK, a treścią jego życia — PRACA, wysiłek, trud. Właśnie TRUD. Co raz częściej wyraz „amal“ wypiera z potocznej mowy hebrajskiej, z piosenki chalucowej, z publicystyki wyraz „awodah“ — nie praca, a trud, ciężki znojny trud. Trzeba słyszeć, z jaką miłością nasz robociarz wymawia „amal“, trzeba widzieć, z jaką miłością go wykonywa.

Rok niepokojów i kłopotów politycznych przyniósł także nieurodzaj w pardesach. Istnieje snać takie prawo kumulacji nieszczęść. Mało tego, że arabscy wodzowie teroryzowali i paraliżowali przez 6 miesięcy życie gospodarcze kraju, to w dodatku zbyt obfite deszcze sprawiły, że odsetek zgniłych cytrusów znacznie się powiększył w tym sezonie i ceny odpowiednio spadły. Poza tym jednak spadek liczby imigrantów pociągnął za sobą osłabienie ruchu budowlanego i częściowe bezrobocie w miastach, które nie zostało całkowicie zniesione przyrostem liczby robotników żydowskich w plantacjach. Są zatem także kłopoty społeczne i ekonomiczne, ale i dotknięty nieurodzajem „pardessan“ (właściciel plantacji), i robotnik zatrudniony tylko 2—3 dni w tygodniu odpowiada jednakowo typowo palestyńskim zwrotem: — Ein dawar! To nic!

Opór, upór, pewność siebie i chęć wytrwania dominują w psychice Jiszuwu.

Zwiedziliśmy nowe osiedle chalucowe, powstałe w czasie rozruchów, prawie dosłownie — pod gradem kul. Cała ta kresowa, najbardziej wschodnia dzielnica kraju, Beth-Szean, jest jeszcze wielkim pustkowiem na którym Tel-Amal i Hasadeh stanowią jakby oazy. Jedyne to są w swym rodzaju wioski. Wioski? — jak obco brzmi ten sielski termin w odniesieniu do najnowszych zdobyczy naszej kolonizacji rolnej, tworzących obozy warowne i obozy pracy zarazem. Całe osiedle otoczone jest zasieką. Płot składa się z dwóch ścian drewnianych, oddzielonych od siebie grubą warstwą drobnego kamienia dla ochrony przed kulami karabinowymi. W środku osiedla stoi wysoka wieża ochronna i obserwacyjna. Na szczycie wieży — reflektor elektryczny, przy którym stale dyżuruje wartownik. Ściany tej wieży, w której mogą się ewentualnie zmieścić wszyscy mieszkańcy osiedla na czas napadu, zawierają jedną warstwę z żelaza grubości około 5 mm. To dla ochrony kobiet i dzieci — tłumaczy się wartownik.

— Ostrożność nie zawadzi nigdy, — kontynuuje nasz informator w Tel-Amal — ale stosunki z Arabami sąsiednimi są wcale dobre. Może właśnie dlatego, że jesteśmy dobrze przygotowani na obronę. Boją się nas. Beduini z sąsiedztwa chcieli przeprowadzić kilka krów przez nasze grunta, przyszli się pytać o zezwolenie i prosili, żeby ktoś z nas poszedł z nimi sprawdzić że bydło szkód nie wyrządzi, że nie wejdą z nim na pole zaorane. Zgodziliśmy się naturalnie. Poszedł z nim jeden z naszych towarzyszy, oczywiście nie bez broni, nawiązał z nimi babrdzo przyjazną rozmowę, Beduini zapewniali wciąż o najżyczliwszym stosunku do nowych sąsiadów. Albo z tą wodą. Od wielu lat Arabowie nawadniają tu ziemię wódą z bliskiej rzeczułki. Ale ta woda jest słona, psuje glebę. Myśmy tu przyszli, to pierwszą naszą rzeczą było poszukiwanie słodkiej wody. Znaleźliśmy ją szybko, odkopaliśmy bardzo obfite źródło. Mamy teraz za dużo dobrej wody. Arabowie zaczynają coraz częściej zwracać się do nas po wodę. Nie odmawiamy im, rzecz zrozumiała.

Ku czci inauguracji nowego dzieła kolonizacyjnego ułożyli robotnicy pieśń — hymn o wielkim świątecznym dniu, w którym pług znów zaczął orać tę ziemię, leżącą od wieków odłogiem. Reren tej pieśni brzmi:

— „..i podpalimy znów, znów
podpalimy
ziemię płomieniem zieleni.“

Duma ozdabia czoło chaluców z Tel-Amal, steranych codziennym trudem i służbą wartowniczą, że to oni właśnie podpalają ziemię ojczystą płomieniem zieleni, i nadzieja wzbiera w ich sercu, że płomień zieleni i kwiecia zwycięży w końcu płomień niszczycielskiego ognia zawiści i wojny.

Wszystko, co widzę i słyszę w Erec-Izrael, pozostawia niezatarte ślady w duszy, ale wszystko to już przed tym żyło w wyobraźni, czy to na podstawie wiadomości, stale i skrupulatnie zbieranych z daleka, czy to na podstawie wrażeń z pierwszego mego krótkiego pobytu w kraju. Bezpośrednie spostrzeżenia są więc tylko potwierdzeniem, a raczej spotęgowaniem obrazów, dawno zakorzenionych w wyobraźni. Dlatego może człowiek obcy, nieżyd lub nie-syjonista,, wpada łatwo w zachwyt, prędko się entuzjazmuje każdym szczegółem, a nasz człowiek, żyjący syjonizmem i dla syjonizmu, tylko cieszyć się może, że nie zawiodły go oczekiwania najśmielsze, że się nie rozczarował w swych marzeniach najskrytszych, w nadziejach, tęsknych a drogich. Radość bez przesadnie „gorliwego“ zachwytu, właściwego typowym turystom, stojącym zwykle zdala lub z ubocza. A jednak...

A jednak przeżyłem w Palestynie jedną taką chwilę prawdziwego zachwytu. Ujrzałem — nie w albumie przepięknych zdjęć, nie na mapie i w planie, nie w opisie licznych reporterów, ale na własne oczy — port żydowski w Tel-Aviv. Nie będę go opisywał, bo żadne pióro nie jest w stanie odtworzyć tego ogromu pracy, tego triumfu żydowskiej energii, jaki wcielony jest w budującym się pierwszym porcie pierwszego żydowskiego miasta. To nie karykatura portu, jak mniemają nasi scyniczali sceptycy warszawscy, ani też miniatura portu, ale po prostu — port, powstający w rozmiarach i w formie, odpowiadających wymogom XX wieku. I ten port rośnie z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę. W naszych oczach przecież maszyna wyrzuciła setki metrów sześć. piasku z dna morza i pogłębiła morze, rozszerzyła port.

Nie dla portu ten zachwyt. W Hamburgu port jest większy, w Tryjeście też. Ale dla rąk, które port ten budują. Nie wierzono dawniej, by synowie ghetta stali się kiedykolwiek rolnikami, teraz żydowskie rolnictwo jest wzorem dla całego Bliskiego Wschodu. Ktoby przypuszczał, że Żydzi z Kałuszyna, którego odór tak mierzi wielmożnego pana pułkownika z „Gazety Polskiej“, opanują kiedyś morze. I oni właśnie je opanowują! Są też wyszkoleni żydowscy marynarze, rybacy i robotnicy portowi, sprowadzeni z Salonik, ale wielu jest także z Polski, z miasteczek polskich. Poznali mnie niektórzy i przerwali pracę, by się ze mną przywitać. Ten młodzieniec przy molo to syn tow. Szkarłata, popularnego w Polsce nauczyciela szkół hebrajskich „Tarbut“. A ten nurek, który „w pełnym rynsztunku“, dopiero co z wody wylazł, przedstawia mi się jako Kohn z Białobrzega, i pyta się zażenowany, czy go już nie pamiętam? — Jakbym mógł go nie pamiętać? — Mało to razy zostało jego podanie o certyfikat odrzucone, bo mu brak było kwalifikacyj zawodowych, i nie wierzyłem, by był zdolny do pracy produktywnej, aż wreszcie doczekał się swej kolejki. Teraz chłopczysko się cieszy, że się zrehabilitował w moich oczach — przyniósł mi po tym na bankiet pożegnalny swoją fotografię w ubiorze nurka. Nawet nie wie, jak bardzo mnie zawstydził towarzysz Kohn z Białobrzega. On buduje port w Tel-Awiw!

Później nas oprowadzał wicedyrektor żyd. Tow. Morskiego, pokazywał każdy szczegół. Twarz jego promieniała, że ten olbrzymi piękny magazyn portowy nie mieści już wszystkich towarów, ładowanych w porcie tel-awiwskim, i przystępują do budowy drugiego; że łódek już nie musimy zamawiać u syryjskich Arabów, bośmy już wyszkolili własnych specjalistów, którzy budują łodzie szybciej, lepiej i taniej; że rodzaj drzewa eukaliptusowego, wyhodowany w lasach Keren - Kajemeth, naltrwalszy i najoporniejszy na gnicie, i został właśnie zastosowany przy budowie łodzi do dolnych partyj, zanurzonych stale w wodzie; i że gdyby tylko rząd zezwolił to możnaby było obok towarowego otworzyć port pasażerski, już teraz nie gorszy, niż w Jaffie, a za parę miesięcy — wtedy rząd będzie już musiał zezwolić, bo wszystko będzie gotowe, — lepsze i wygodniejsze, niż w Jaffie.

Przyjaciel, który mi towarzyszył w zwiedzaniu portu, Eliezer Leder z Białegostoku, palestyńczyk od 18 miesięcy, zauważył entuzjazm w oczach dr. Schipera i nawet w moich:

..— Są Jednak w Palestynie rzeczy, którymi nawet syjoniści się zachwycają — zauważył pół żartem.

Nie wiedziałem, czy wstydzić się, czy cieszyć tą chwilą słabości...

Byliśmy też w miastach i starych koloniach, tu i ówdzie już po raz wtóry. Jerozolima, jak zawsze, święta, królewska, majestatyczna, cała w kamieniu ciosana. Rozszerzają się nowe dzielnice żydowskie, Rehawia zamieniła się z maleńkiej dzielnicy jakby w nowe, samodzielne miasto.

Tel-Awiw wciąż rośnie,ku północy i ku południowi. Cafon i Darom z Kiriath-Awodah to nowe piękne dzielnice miasta. Urokowi tego miasta poddać się muszą nawet jego najzagorzalsi krytycy. Nigdzie tak, jak w Tel-Aviv nie dowiedliśmy ad oculos, żeśmy do Azji wprowadzili Europę. Nawet te luksusowe magazyny i wielkie kawiarnie, na które nasi purytanie tak bardzo narzekają, są niezbędnymi akcesoriami europejskiego stylu tego azjatyckiego miasta.

W kawiarniach nad brzegiem morza i w nowo-otworzonych „Ginathi“ („Mój ogródek“) i „Nogah“ („Blask“, „Venus“ — panienki z Bielańskiej deklinują po polsku: „byłam wczoraj w... „Nodze“) zbierają się przecież nie tylko opaśli burżuje, ale i elita duchowa stolicy nowego Jiszuwu.

Haifa jest nadal miastem wielkiej przyszłości. Nad morzem rozciąga się wielki nowy bulwar na ziemi, dopiero co wydartej morzu, ulica Królów , i cała portowa dzielnica miasta. Hadar Hakarmel wciąż w rozbudowie tworzy dzielnicę handlową. Har Hakarmel zamienia się powoli w nowoczesne wykwintne uzdrowisko górskie o pięknych willach, pensjonatach i sanatoriach, i o jeszcze piękniejszych widokach. W niewielkiej odległości od centrum (20 minut autobusem) leżą trzy nowe dzielnice robotnicze, zabudowane wyłącznie małymi domkami, otoczonymi ogródkami (kwiaty i warzywa) — to powstałe na ziemi Keren-Kajemeth: Kirjath-Chaim (im. Arłosorowa), Kiriath-Bialik i Kirjath-Motzkin. Po drodze do dzielnicy robotniczej widać w pewnej odległości od głównej drogi centrum przemysłowe Haify. Wielu miast, tak różnorodnych pod względem charakteru, się nie spotyka.

Osiedla rolnicze, jedne bogatsze, i zasobniejsze drugie borykające się jeszcze z trudnościami budżetowymi, żyją wszystkie jednakowym życiem. Wielkie są różnice i w stopniu gospodarowania i w charakterze żywiołu ludzkiego między Gan-Szmuel („Haszomer Hacair“), Sdeh-Jaakow („Hapoel Hamizrachi“), a kibucem „Hanoar Hacyjoni“ w Kfar Saba, ale upodobniają je do siebie: zawód rolnika ze wszystkimi jego troskami i radościami, następnie swoisty tryb życia w gromadzie (kibuc), wreszcie przeświadczenie, że spełniają ważne, może najdonioślejsze posłannictwo narodowe. Wobec tych elementarnych motywów integracji jakże nikłe wydają się dyferencjacje ideologiczne, jeśli się je nawet podnosi do wyżyn różnic światopoglądowych. Kurniki i inkubatory widziałem wszędzie jednakowe. Oto co najważniejsze.

*

Wypadki ostatniego roku wyzwoliły nową energię patriotyczną Jiszuwu. Starcy nad grobem i dziatwa szkolna — wszyscy, wszyscy przeniknięci są jednym wielkim uczuciem umiłowania kraju, ziemi, sprawy. Odnoszę wrażenie, że w młodym pokoleniu, które już nie znało albo nie pamięta Galuthu, zaczyna przeważać patriotyzm w dosłownym znaczeniu tego słowa, miłość do ojczystej ziemi, do krajobrazu, do nieba palestyńskiego, do morza do przyrody, słowem — do ojczyzny. Nie oznacza to wcale, że słabnie świadomość Sprawy, dla której kraj ten się buduje. Ale pewne znamiona przeobrażania się galuthowego patriotyzmu syjonistycznego w patriotyzm Erec-Izrael kilkakrotnie zwróciły moją uwagę. Jeszcze jeden dowód normalizowania się naszego życia w Palestynie. Z drugiej strony zaobserwować też można przejawy wzmacniającej się więzi między młodym pokoleniem palestyńskim a żydostwem Diaspory. Na obiedzie w Kfar-Jechezkiel, wydanym na cześć członków A. C., mówiłem z kilkunastoletnim chłopcem, który świetnie się orientował w stosunkach organizacyjnych ruchu syjonistycznego w Europie, a mój kuzynek z Rishon-le-Zion, uczeń gimnazjalny z „Herzliah“, gdy wypytywał mnie o położenie Żydów w Polsce, miał czoło skupione i głęboką zadumę w oczach.

Stosem pacierzowym Jiszuwu, jego mózgiem i ramieniem jest nadal robotnik-chaluc. W robotniku syjonistycznym skupia się też najbardziej twórczy patriotyzm Erec-Izrael. Imponujące manifestacje pierwszomajowe przeszły pod znakiem troski o dalsze losy dzieła syjonistycznego. Nie zapomniano o Hiszpanii, ani o faszyzmie i antysemityzmie w świecie, ale na czoło plakatów czerwonych wybijały się napisy o szeklu na XX Kongres, a w mowach na wiecach i akademiach najsilniej zaakcentowano zagadnienia, związane z jutrem syjonizmu. Nawet najradykalniejsze skrzydło lewicowe w „Histadruth“, lewica Poalej-Syjon, stojąca poza ramami Kongresu Syjonistycznego, wysuwa jako hasło naczelne postulat imigracji masowej, a Zerubawel wygłosił w Tel-Aviv 1-go maja par excellence syjonistyczne przemówienie. Nb. skrzydło to nieco się wzmocniło ostatnio dzięki przypływowi z Niemiec, skąd robotnicy przywieźli rozczarowanie do metod s. d., którą przyrównują do Mapaj, ale nawet ta najskrajniejsza grupa Zerubawla jest — że tak powiem — państwowotwórcza“. Komuniści jako ugrupowanie w Jiszuwie nie istnieją; są pojedyńcze jednostki, podobno czynne wśród Arabów. rowadzą wśród nich agitację antysyjonistyczną.

*

Znów jestem na pokładzie włoskiego statku „Galilea“. Jest godz. 10 wiecz. Za chwilę okręt rusza. Przede mną roztacza się obraz Haify w nocy. Tysiącami świateł migoce to cudowne miasto marzeń Autora „Altneuland“. Na pierwszy plan wybija się wielka budowla, cała skąpana w elektryczności — to gmach towarzystwa elektryfikacyjnego Rutenberga. Odjeżdżający turysta — przyjaciel czy wróg — musi pomyśleć: port jest angielski, ale miasto jest żydowskie, i te światełka wszystkie, co zlewają się w jedno morze światła elektrycznego, także są wytworem żydowskiego trudu. To Żydzi ujarzmili Jordan. To Żydzi wnoszą cywilizację do tego świętego i dzikiego kraju. Taki jest już los Palestyny: albo pustynia i bez Żydów, albo, ośrodek kultury i dobrobytu przez Żydów tworzony.

Szesnaście dni byłem pod lazurowym niebem Erec-Izrael, oddychałem jej powietrzem, rozkoszowałem się jej swobodą i tym uczuciem błogim niewysłowionym, że jestem u siebie.

Okręt już ruszył i powoli giną w dali te światełka, takie własne, takie swoje, jak świece ręką Matki w piątkowy wieczór zapalane. I już noszę w sercu tocząc jak robak a przemożne uczucie nostalgii, — uczucie, które powstało przed dwudziestu wiekami, a które zgaśnie dopiero z ostatnim żydowskim tułaczem.

A. G. ARCI

DWA WYDARZENIA

Jak długo sprawozdanie Komisji Królewskiej się nie ukazało, a rząd brytyjski nie ogłosił wytycznych swej nowej polityki w Palestynie, obowiązują — rzecz prosta — dawne zasady. Obowiązuje więc również zasada regulowania imigracji żydowskiej według pojemności gospodarczej kraju. Zdolność absorbcyjna gospodarki palestyńskiej jest — w teorii — jedynym wskaźnikiem, według którego ustala się co pół roku liczbę robotniczych zezwoleń imigracyjnych, przydzielanych przez rząd Agencji Żydowskiej. Od kwietnia i od października liczą się te certyfikatowe półrocza.

Tegoroczny „schedule” kwietniowy się opóźnił. W oczekiwaniu bliskiego sprawozdania Komisji Królewskiej wstrzymywał się rząd z przydziałem certyfikatów, choć Egzekutywa Agencji Żydowskiej przedłożyła mu we właściwym czasie swe umotywowane żądania, a urzędnicy rządu i Agencji przeprowadzili, praktykowane od paru lat, wspólne badania rynku pracy. Jak w każdej prawie sprawie w Palestynie w ostatnich czasach, tak i w tej odkładał rząd decyzję: lada dzień ogłoszony wszak zostanie cudotwórczy raport, pełen nowych rozwiązań i gruntownych leków dla wszystkich zagadnień i bolączek Palestyny, pocóż więc postanawiać zawczasu o rzeczach, które nazajutrz mogą zupełnie odmiennie się, kształtować?

Nie ma prawie problemu, kłopotu rozwiązania którego rząd palestyński nie oszczędzałby sobie teraz powyższym dogodnym argumentem. Lecz certyfikaty to rzecz terminowa. Można się spóźnić o miesiąc z ich przydziałem, ale nie o kwartał i więcej. Gdy wyjaśniło się, że ogłoszenie sprawozdania Komisji Królewskiej się odwleka, rząd został zmuszony do załatwienia sprawy na własną rękę. Dla podkreślenia prowizoryczności tego załatwienia zmieniono specjalnie ustawę imigracyjną, która przewiduje tylko przydział półroczny, i wprowadzono przepis, zezwalający Wysokiemu Komisarzowi w razie potrzeby ustalać „Schedule” na okres krótszy. Na tej podstawie ustalił Wysoki Komisarz liczbę certyfikatów imigracyjnych na okres czterech miesięcy od kwietnia do lipca w wysokości 770, z których Egzekutywa ma dostać do rozdziału 620, a reszta zostanie, jak zwykle, jako rezerwa, do dyspozycji rządowego departamentu imigracji.

Widząc trud, z jakim przyszła rządowi ta decyzja, można było oczekiwać jakiegoś niebywale ryzykownego kroku. Tymczasem to, co się z tych długich przygotowań urodziło, trudno wogóle nazwać decyzją. Jest to raczej jeszcze jedna próba wykręcenia się sianem z wyraźnego, ustawą przewidzianego, zobowiązania, próba, w której wyniku zobowiązanie zamieniło się w karykaturę, a sposób wywiązania się zeń — w kpiny. Rzecz jasna, że nie o te kpiny rządowi chodzi, ale o uniknięcie zbyt ostrego sprzeciwu przywódców arabskich. Ten motyw nigdy zresztą nie był wyłączony z nieoficjalnych obliczeń rządowych przy ustalaniu schedule'u. Ale w takiej mierze jeszcze go chyba nigdy nie uwzględniono.

Dyrektor rządowego departamentu imigracji, Eric Mills, scharakteryzował swego czasu w zeznaniu przed Komisją Królewską sposób ustalania liczby certyfikatów, jak następuje: „Fabryce X w Tel-Avivie potrzeba 20 robotników. Agencja Żydowska włącza ich do rachunku. Powiadam sobie, że wystarczy 12. Przydziela się 8”. Naogół wyglądała właśnia tak proporcja między żądaniami Agencji, wnioskami departamentu i rozporządzeniami Wysokiego Komisarza. Lecz tym razem trzeba małą korektę wprowadzić: ostatnią cyfrę zmniejszyć, powiedzmy, do 2!

O tę proporcję właśnie chodzi. Każdy Żyd, przybywający do Palestyny, każdy Żyd, wyrwany ghettu, każdy certyfikat tym samym ma swoją wartość. Był czas, kiedy 770 certyfikatów to był przyzwoity schedule, stojący w niejakiej proporcji do potrzeb i możliwości kraju. Ale od owego czasu minęło kilka lat, lat gwałtownego rozwoju, który zmienił zgruntu rząd wielkości, aktualnych w Palestynie. Pamiętna „prosperity” palestyńska nie była wolna od wad, ale jednego dokonała: przeniosła nas na poziom, o tyle wyższy od poprzedniego, że liczby, dawniej zadawalające, stały się dziś irytującymi. Jeśli wiadomość o ostatnim przydziale certyfikatów wywołała wśród wielu odruchową chęć odrzucenia tego „schedule'u kpin”, to nie dlatego, że sprowadzenie tysiąca Żydów do kraju przestało mieć wagę w ich oczach, ale dlatego, że to taki mały ułamek tego, co kraj może i powinien pohłonąć. Jeśli przydziela się certyfikatów mniej więcej jedną dziesiątą tego, co na podstawie skrupulatnego rachunku ustaliła Agencja Żydowska, czyż można wytrwać przy wyjaśnianiu różnic li tylko większą ostrożnością rządu przy ocenie perspektyw gospodarczych kraju?

Ostatni schedule jest typowym schedule'm politycznym. Już przy październikowym przydziale certyfikatów usiłował Wauchope złagodzić ich efekt wśród Arabów tym, że przyznał ich o wiele mniej, niż o 6 miesięcy wcześniej. Było tego zawsze jednak jeszcze tyle, że Komitet Arabski uznał w odpowiedzi za stosowne zbojkotować Komisję Królewską (z czego zresztą, jak wiadomo, pod koniec jej pobytu w kraju zrezygnował). Tym razem poszedł Wauchope jeszcze dalej po tej linii: choć sytuacja gospodarcza jest lepsza, zmniejszył liczbę certyfikatów o tyle, że Arabowie protestują już rzeczywiście tylko pro forma. Ale do czegóż to prowadzi? Konsekwentnie po tej linii można dojść do jeszcze lepszego sposobu udobruchania Arabów: do likwidacji syjonizmu... Nie chce tego chyba sam Wauchope. Nie leży to w przekonaniu bardzo wielu Anglików w interesie Anglii. Ale jest logiczną konsekwencją nastawienia, które pragnie uspokoić opozycję Arabów ograniczeniami wobec Żydów. Z nastawieniem tym zmagamy się od lat. Ostatni schedule nadał tej walce nową aktualność. Odrzucenie go przez Egzekutywę Agencji Żydowskiej oznacza zaś nową, zaostrzoną jej formę.

(dokończenie na str. 8-ej)

W rocznicę otwarcia portu w Tel-Aviv

Leopold Halpern

Wiatr od żydowskiego morza

I.

W ciężkich chwilach decydowania się najbliższej przyszłości politycznej Palestyny, które teraz przeżywamy, oczy nasze winny być zwrócone nie tylko na wąski nadmorski pas lądu, stanowiący naszą historyczną Ojczyznę, ale także na otaczające go z dwóch stron morza: *Śródziemne i Czerwone*. Albowiem od najbardziej zamierzchłych czasów historycznych aż po dzień dzisiejszy morze było i jest jednym z najdonioślejszych elementów polityki. Tak było i jest na całym świecie — tak było, jest i będzie nadal na palestyńskim odcinku polityki światowej.

Rosyjski autor świetnego studium źródłowego o *Cuszimie*, A. Nowikow-Priboj, wymienia cztery wielkie bitwy morskie, które w różnych czasach zadecydowały o politycznych losach znacznych części świata:

„Pierwsza z tych bitew, pod Salaminą, odbyła się w odległej starożytności, w 430 r. przed naszą erą. Przeciwnicy spotkali się w zatoce Salamińskiej, niedaleko Pireus i Aten. Mała flota grecka pod dowództwem Temistoklesa pokonała potężną flotę perską króla Kserksesa. Druga bitwa morska odbyła się w wiekach średnich, w 1571 r., w pobliżu Lepanto na morzu Adriatyckim. Połączona flota państw chrześcijańskich pod dowództwem don Juana d'Austria rozbiła w puch okręty Saracenów i Egipcjan. Trzecie podobne zdarzenie miało miejsce w późniejszej epoce, w 1805 r., w pobliżu cieśniny Gibraltarskiej, niedaleko przylądku Trafalgar. Tu słynny admirał Nelson, któremu po dawniejszych bojach pozostało jedno oko i jedna ręka, dowodząc flotą angielską, osiągnął świetne zwycięstwo nad połączoną flotą francusko-hiszpańską, pod dowództwem admirałów Villeneuve'a i Gravina. Obaj ci admirałowie, jak również i Nelson, zginęli, straciwszy przytem dziewiętnaście okrętów i prawie całą załogę. Czwarta bitwa miała miejsce na wodach Dalekiego Wschodu, w pobliżu wyspy Cuszima, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, dnia 14/27 maja 1905 r.

Fakty, podane przez rosyjskiego autora, wymagają jednak historycznego uzupełnienia i pogłębienia. Albowiem tu nie tylko o morskie batalie i ich doraźne strategiczne efekty chodziło, ale o rzeczy nierównie większe. Tu na przestrzeni kilku mil morza, wśród monotonnego kołysania się fal, decydowały się nieraz losy państw, losy kultur, losy ustrojów socjalnych, losy całych narodów!

Sąsiadujący w starożytności z historycznym Państwem Żydowskim, *Fenicjanie*, mieszkańcy ubogiego i skalistego kraiku, dzięki osiągnięciu niebywałych na owe czasy zdobyczy w dziedzinie nawigacji, stali się bogatym i wpływowym narodem, o którego przyjaźń i pomoc ubiegali się władcy potężnych mocarstw lądowych. A fenicka kolonia północno - afrykańska, *Kartagina*, przez lata całe zagrażała największej potędze militarnej starożytności, Rzymowi, nie posiadając jego legionów, jego organizacji i jego „virtus", górując wszakże nad nim na morzu. I trzeba było dopiero w decydującej chwili ważenia się losów republiki rzymskiej skupienia wszystkich wysiłków narodu wokół zadania dorównania Kartaginie na morzu, by Hannibał nigdy już nie mógł ukazać się u wrót Rzymu, by uratować wielką cywilizację, pod wpływem której w dużym stopniu kształtowały się polityczne i kulturalne losy Europy aż do najnowszych czasów.

Fenicjanami nowożytności i współczesności są Anglicy. Albowiem dzieje Wielkiej Brytanii stanowią obraz podobnej dysproporcji pomiędzy naturalnym ubóstwem kraju, a jego sztucznym bogactwem, sprowadzonym okrętami ze wszystkich części świata; pomiędzy słabością liczebną i bojową armii lądowej a niezwyciężoną dotąd potęgą floty morskiej. Ale nie tylko potęgą polityczną i materialną zawdzięczają Anglicy morzu — winni mu są oni wdzięczność za coś nierównie większego: za swe szczęśliwsze od kontynentu dzieje, wytworzenie się silnie zarys. indywidualności narodowej, za ukształtowanie się instytucji politycznych, z których mogą być szczerze dumni i tradycji, którymi tak bardzą się szczycą. Albowiem morze, które jest najlepszym gościńcem dla sprowadzania bogactw ze wszystkich skarbców świata stanowi zarazem najpotężniejszy szaniec obrony przed wrogiem zewnętrznym i jego zgubnymi wpływami. To brzmi, jak paradoks, ale jest głęboką prawdą: *morze łączy a zarazem dzieli narody i kraje — zależnie od woli tych, którzy nad morzem potrafią panować.*

Morze też obdarzyło Anglię zwycięstwem nad najpotężniejszym mocarzem nowożytności — *Napoleonem Bonaparte*. U stóp cesarza Francuzów była cała Europa, orły jego gwardii dotarły do Moskwy, ale na morzu Anglia raz pa razie biła flotę francuską, dlatego epilog epopei napoleońskiej nie mógł rozegrać się gdzieindziej, jak na Św. Helenie.

Kiedy zaś Niemcom Wilhelma II przestały już wystarczać sukcesy kontynentalnej polityki Żelaznego Kanclerza, a Kaiser począł roić o rozbudowie światowego imperium germańskiego, o „miejscu pod słońcem" — to, droga do realizacji tych planów mogła peowadzić tylko przez *morze*. Tu źródło niebywałych zbrojeń morskich Niemiec cesarskich, które zaniepokoiły Anglię, czyniąc z niej zdecydowaną przeciwniczkę morsko-imperialistycznych koncepcji Rzeszy, tu główna przyczyna wojny światowej, a pośrednio, także tych niezliczonych, a tak często radykalnych, przemian, które po niej nastąpiły.

Na morzu decydowały się losy nie tylko państw, ale kultur, ras i ustrojów społecznych. Dramatyczna bitwa morska, która rozegrała się w maju 1905 r. na wodach Oceanu Spokojnego koło wyspy *Cuszima* pomiędzy rosyjską flotą admirała Rozdżestwieńskiego a młodą flotą japońską, wspaniałe, heroiczne i jak grom niespodziewane zwycięstwo Japończyków, co tak silne znalazło echo w literaturze, na scenie i w filmie — to jakby soczewka, w której zetknęły się ze sobą promienie, prowadzące do tak różnorodnych a zarazem przełomowych wydarzeń, jak wybicie się polityczno-cywilizacyjne rasy żółtej, zachwianie się potęgi i autorytetu caratu oraz pierwszy etap rewolucji socjalnej w Rosji.

Morze jest zarazem najlepszym gwarantem niepodległości. Dowodzą tego dzieje Polski, a zwłaszcza błędy, polityczne, popełnione na ich przestrzeni. Gdyby bowiem nie zaniedbano rozbudowy floty polskiej na morzu Bałtyckim, wtedy za Jana Kazimierza bitwy polsko-szwedzkie nie rozgrywałyby się pod murami Warszawy, ale na falach Bałtyku, wtedy nie doszłoby prawdopodobnie do pierwszych prób rozbiorowych w w. XVII, po których nastąpiły ostateczne rozbiory końca XVIII w. i utrata niepodległości. Ale na tym odcinku nauka historii Polski nie przeszła bez echa: kiedy bowiem *Ignacy Paderewski* w czasie wojny światowej czynił niepodległościowe starania dyplomatyczne w Waszyngtonie, to sprawę morza postawił tuż obok sprawy Niepodległości. Historyczny *punkt 13 Wilsona* mówi o „Polsce niepodległej z *swobodnym i bezpośrednim dostępem do morza*". A niepodległa Rzeczpospolita nie żałowała milionów na budowę Gdyni, i polskich okrętów.

II.

W dziejach żydowskiej Palestyny morze nie odegrało tej decydującej roli, jaką mogło odegrać ze względu na położenie naszego kraju. Stało się to z powodu ówczesnego oblicza etnograficznego Palestyny, ale głównie — z naszej winy.

W przeciwieństwie bowiem do współczesnego rozmieszczenia ludności żydowskiej w Palestynie, w czasach historycznych Żydzi zamieszkiwali górskie pasmo śródlądowe, pozostawiając wybrzeże morskie w ręku obcych, często nieprzyjaciół. W okresie Sędziów wybrzeże opanowane było przez wrogich Filistyńczyków — w okresie królów: północna część jego znajdowała się w ręku Fenicjan. Jedynie plemię *Zebulun* zamieszkiwało brzeg morza i trudniło się rybołóstwem; większych wysiłków w kierunku opanowania morza w pierwszym okresie naszych dziejów — nie poczyniono.

Dopiero mądry król *Salomon zwrócił* oczy Żydów ku morzu. Ono stało się owym czarodziejskim źródłem, z którego niespodziewanie wytrysła potęga polityczna, militarna, materialna i kulturalna złotego okresu solomonowskiego. Skąd bowiem wzięły się te legendarne skarby Jerozolimy owych czasów, skąd ten wschodni przepych dworu monarchy, skąd dobrobyt jego podanych? Przecież panowanie Salomona było erą pokoju, a większych podbojów orężnych wtedy nie dokonywano. To tylko mądry król zawarł *układ morski z Chiromem*, fenickim władcą Tyru i Sydonu, którego klauzule zabowiązywały Fenicjan do dostarczenia Żydom, za sutym wynagrodzeniem, drzewa z Libanu na budowę okrętów. Król obwarował miasta, leżące na drodze do portów morza Śródziemnego i Czerwonego, wkrótce też wyruszyły fenicko-żydowskie wyprawy morskie po skarby Ofiru, albo do legendarnego Tarszyszu (Kadyks w Hiszpanii?)

Ale dziedzictwo morskie Salomona nie zostało rozbudowane, ani nawet utrzymane. Jeszcze król Jehoszafat przedsięwziął wyprawę morską, która jednak nie udała się, jeszcze kilku mądrzejszych władców próbowało bronić dostępu do morza, ale było już zbyt późno. W wyniku rozbicia się naszego historycznego państwa na królestwa Judei i Izraela, w wyniku niebywałego osłabienia, wywołanego walkami wewnętrznymi — przodkowie nasi utracili morze, a wślad za tym: niepodległość.

Niech nam bowiem wolno będzie w tym miejscu wysunąć historyczną hypotezę, że gdyby rozbudowano w odpowiednim czasie żydowską potęgę morską, Państwo Żydowskie zdołałoby utrzymać swą niezawisłość wbrew wszystkim, którzy w całość jego i byt godzili, nawet przeciw *Rzymowi*. Twierdze Galilei i mury Jerozolimy musiały runąć pod gradem pocisków rzymskich katakulp i pod naporem legionowych kohort — ale, gdyby twierdzami naszymi były żydowskie okręty, gdyby losy Judei zadecydowały się na morzu gdzieś pomiędzy Cezareą a wyspami Archipelagu — wtedy, może, utrzymalibyśmy naszą niezawisłość, wtedy dzieje nasze i dzieje wielu narodów w różnych stronach świata od starożytności do naszych czasów — potoczyłyby się w innym zgoła kierunku.

Tak oto błędy naszej przeszłości sprawiły, że to, co kiedyś było politycznie realne — dziś stanowi tylko temat dla romantycznych marzeń historycznych...

III.

Romantyczne marzenia historyczne nie pozostaną jednak zupełnie bezpłodne, jeśli potrafimy z nich wyciągnąć nauki na dziś i na jutro, jeśli uchronią nas od powtarzania błędów dnia wczorajszego.

Albowiem *morze stanowi najdonioślejszy element współczesnej polityki palestyńskiej naszego potężnego partnera, Wielkiej Brytanii.* Ono jest właściwym źródłem, z którego wyszła Deklaracja Balfoura, i Mandat, i 17 lat politycznego lawirowania mandatariusza pomiędzy Żydami a Arabami, i ostatnie wydarzenia, i przekształcanie Palestyny w brytyjską bazę morsko-starategiczną, i plany jej podziału z wyłączeniem Jerozolimy i Haify, i ciężka problematyka w obliczu której stanęliśmy od kilku tygodni...

O polityce angielskiej zwykło się mówić, że jej naczelną zasadą jest... brak wszelkich zasad. Jedna wszakże zasada niewątpliwie przyświeca polityce Imperium Brytyjskiego: Zapewnienie drogi z jego metropolii do fundamentu — do Indii. Droga ta prowadzi z portów Wielkiej Brytanii poprzez Gibraltar, morze Śródziemne, Suez i morze Czerwone. Polityka angielska czyni więc wszystko, aby drogę tę zabezpieczyć, obronić i utrzymać w całej jej rozciągłości, w szczególności zaś na doniosłym odcinku sueskim. Do najnowszych czasów straż nad kanałem Sueskim sprawowały wojska angielskie stacjonowane w Egipcie, ostatnio jednak potężny egipski ruch narodowy, orientujący się na kolonialnych konkurentów Anglii, osłabia coraz bardziej dotychczasową bazę militarną. Rodzi się więc konieczność szukania obrony drugiego brzegu Suezu, a może nawet zapasowego odcinka wielkiej drogi do Indii. To właśnie zmusza Anglię do skierowania wzroku w stronę półwyspu Synaj i graniczącej z nim Palestyny. Albowiem Palestyna, leżąca pomiędzy morzem Śródziemnym a Czerwonym stanowi właśnie naturalny rezerwowy odcinek drogi indyjskiej, biegnącej od Haify do Akaby.

Anglia jest więc zainteresowana w utrzymaniu się mocną stopą w Palestynie i czyni wszystko zgodnie z tą podstawową tendencją. Buduje port w Haifie i nadaje mu charakter bazy morskiej, przeprowadza z Mossulu do Haify rurociąg naftowy — źródło paliwa dla śródziemnomorskiej floty, sprowadza do Palestyny wielkie siły zbrojne lądowe i powietrzne, ale przede wszystkim: lawiruje pomiędzy Żydami i Arabami. *Tak oto morze jest podstawowym elementem polityki palestyńskiej Wielkiej Brytanii.*

Czy także *naszej?* Dotąd: nie: Dotąd błędy przeszłości są powtarzane przez współczesnych. Tyle tylko, że mapa etnograficzna Palestyny wygląda wręcz odwrotnie niż w starożytności: góry są opanowane przez obcych, przez Arabów, pas nadmorski zaś znajduje się przeważnie w naszym ręku. Ale nic więcej.

Cały nasz wysiłek był skierowany na wyzwolenie lądu i jego kolonizowanie. O morzu nie zapomniano, ale nie miano dlań dotąd czasu. Podstawowa zasada syjonistycznej polityki konstruktywnej — stopniowe opanowywanie kraju we wszystkich jego częściach i dziedzinach życia — nie miała dotąd zastosowania na odcinku morskim. Kosztowało to nas bardzo drogo —politycznie i dosłownie. W okresie wielkiej „alii", w r. 1934, Żydzi zapłacili za korzystanie z usług nawigacji 3 miliony £, ale wśród 15.000 osób zatrudnionych w tej gałęzi nie znajdzie się nawet 100 Żydów. Albowiem 30% nawigacji znajduje się w rękach Włochów, 20%—Anglików, reszta — w ręku Niemców, Norwegów, Francuzów. Nawet przybrzeżny ruch znajduje się w ręku Arabów syryjskich, egipskich i palestyńskich, nawet rybołostwo jest opanowane przez innych.

Nie pozostaje więc nam nic innego, jak powtórzenie na odcinku morskim tej długiej i żmudnej drogi, którą przebyliśmy już na lądzie od pierwszych dunamow ziemi i pierwszych krów pierwszych kolonistów (tak wyśmiewanych za dawnych czasów!) aż do zdobyczy dnia dzisiejszego. Nigdzie zresztą nie rozpoczynano opanowywania morza od budowy... floty wojennej, ale właśnie od rybołostwa, od opanowania wybrzeży, od nawigacji nadbrzeżnej.

Port w Tel-Awiw jest bodaj pierwszym donioślejsz. etapem na tej długiej drodze. Jeśli zaś można mówić o jakimś pozytywnym dla nas skutku wydarzeń palestyńskich 1936 r. — to jest nim tylko i wyłącznie ten pierwszy port żydowski. Przed rokiem sabotażowy strajk arabskich tragarzy i przewoźników portowych mógł utrzymać fizycznie prąd żydowskiej „alii", mógł odciąć nas od świata i od naszej diaspory. Dziś *to* nie jest już możliwe.

Potencjalnie już dziś morze jest naczelnym elementem *naszej* polityki palestyńskiej, ale do faktycznego opanowania odcinka morskiego naszego kraju prowadzi długa, żmudna i bardzo trudna droga. Musimy ją jednak przebyć za wszelką cenę. Albowiem droga ta połączy nas z Europą, z którą kulturalnie jesteśmy związani, oraz z diasporą żydowską, której dalsze życie i rozwój wyobrażamy sobie tylko w ścisłym związku z naszą metropolią palestyńską. Droga ta zarazem ochroni nas od błędów i klęsk naszej historycznej przeszłości, gwarantując najbardziej skutecznie pokojowy i twórczy rozwój naszego narodu, którego nie przerwie żadna wroga siła zewnętrzna.

Wiatr od żydowskiego morza wieje nieustannie. Dotąd podmuchy jego uderzają w próżnię lub w żagle obcych okrętów. Kiedyż znowu, napęcznieją od tych podmuchów żagle żydowskich okrętów, które od Salomonowych czasów nie wypływały na morze? Kiedy wiatr od żydowskiego morza rozwinie błękitno-białe bandery?

Inż. A. Glizer

Pierwszy rok

(Korespondencja własna „Steru" z Palestyny)

Rok mija od czasu pamiętnego dnia, gdy pierwszy worek cementu, wyładowany w „porcie" Tel-Avivu, spoczął obok eksponatów muzeum tel-avivskiego. Było to pod koniec pierwszego miesiąca rozruchów, w chwili, kiedy poczwórny mord w kinie „Edison" w Jerozolimie wstrząsnął żydostwem palestyńskim w sposób, któremu nie było może równego w owych dosyć wstrząsających dniach. Ludzie zadawali sobie wciąż jedno i to samo pytanie: czym zaradzić, czym odpowiedzieć na tego rodzaju czyny?

I oto w tej chwili przyszły dwie wieści: jedna, że są nowe certyfikaty, druga, że do Tel-Aviv zawija okręt. Ludzie nagle ujrzeli, że jednak ofiary, które padają w Palestynie, padają inaczej, niż ofiary, jakie Żydzi ponoszą gdziekolwiek indziej, że jakkolwiekby one tu były bolesne, nie są one jednak tak tragicznie bezsensowne, jak w diasporze, że w całym tym krwawym wirze jest jednak pod powierzchnią określony nurt, który niesie odpłatę za wydarzenia Jaffy i Jerozolimy.

Nie trzeba powtarzać opisów wyładowywania towarów w Tel-Avivie, kiedy tragarze, po pas brodząc w wodzie, przenosili na plecach worki z łodzi na brzeg, na którym nie było jeszcze nic. Nie będziemy powtarzali opisów entuzjazmu, który ogarnął cały Tel-Aviv, całą Palestynę. Są to rzeczy znane. Przyjrzyjmy się raczej temu, co entuzjazm ten zdołał dotąd zdziałać na swym, przed rokiem zupełnie dziewiczym brzegu.

Nie ujrzymy oczywiście wielkiego portu w rodzaju Gdyni czy palestyńskiej Haify, którą rząd budował w ciągu lat kosztem milionów funtów. Ujrzymy jednak długie molo, wybiegające w morze, na niem dźwigi i kolejkę. U stóp mola łodzie, zwożące towary z okrętów, stojących na redzie, lub załadowujące na nie eksport palestyński. Z łodzi podnosi dźwig ciężary, kładzie na wagoniki, wagoniki dojeżdżają do aut, czekających swej kolei u wylotu mola na nowowybudowanych szosach, lub do magazynów. Na południe od mola mury, wzniesione na dnie morskim, ochraniają dość obszerny basen, u nabrzeża którego odbywa się również ładunek i wyładunek. Poza tym służy basen w razie potrzeby, a więc w czasie burzy, w nocy, w sobotę itd., jako schronienie dla wszystkich łodzi, pracujących w porcie. Tuż przy nabrzeżu basenu widnieje wielki magazyn, w którym znajdują w sezonie pomieszczenie skrzynki pomarańczy, latem zaś wszelki towar.

Toby było, zgruba biorąc, wszystko, jeśli, pominiemy mniejsze rzeczy, jak stocznię łodzi, rozmaite skromniejsze magazyny i budynki itd. Mamy tu więc port typu Jaffy. t. zn. port, w którym same okręty nie mogą przybijać do brzegu ani znajdować schronienia. Wyładowywanie i naładowywanie odbywa się za pośrednictwem łodzi i dla tych ostatnich przygotowane są udogodnienia ładunkowe i schronienie. Port tel-avivski jest dotąd mniejszy od istniejącego od wielu tysiącleci, jaffskiego, w którym rząd w ostatnich tylko latach zainwestował blisko pół miliona funtów. Jeśli zrealizowane zostaną, przewidziane na bieżące lato, roboty, będzie Tel-Aviv już w przyszłym sezonie eksportowym mniej więcej równy Jaffie. Trzeba przyznać, że będzie to nas kosztowało taniej: inwestycje portu tel-avivskiego nie przekroczyły dotąd bodaj sumy stu tysięcy.

„Skąd się wzięły te pieniądze? Prawdę mówiąc, — z entuzjazmu. Pierwsze, względnie niewielkie tym ważniejsze za to, że pierwsze sumy, dała Agencja Żydowska i „Histadrut" (Organizacja Robotnicza), całą resztę — masowa subskrypcja. Około stu tysięcy funtów wpłynęło z subskrypcji akcyj, o których dobrze wiadomo, że narazie dywidendy nie dają. Na dziesiątki tysięcy liczą się właściciele akcyj portu. Przeważająca ich większość napewno nigdy przedtem akcji nawet nie widziała, tem pewniej — nie posiadała. Jak zwykle zresztą w takich wypadkach, sfery zamożne nie są na czele listy subskrybentów. Jeśli, toczone obecnie z kooperatywami eksportu pomarańczy, pertraktacje doprowadzą do pomyślnych rezultatów, stanie się dopiero udział tych kół w budowie portu tel-avivskiego pokaźniejszy.

Sumy, osiągnięte z tego ostatniego źródła, wraz z funduszami, które pozostały z poprzedniej subskrypcji, powinny umożliwić przeprowadzenie tegorocznych robót. Mają one za zadanie wykończenie całego basenu, którego w roku ubiegłym zbudowano tylko mniej niż połowę, przedłużenie nabrzeży z górą dwukrotnie, rozszerzenie magazynu do przeszło podwójnych rozmiarów, pomnożenie taboru pływającego itd. W porcie tel-avivskim panuje już obecnie ciasnota. Eksport pomarańczy wzrasta i port haifski nie może mu wydołać. Umożliwienie większego eksportu z Tel-Avivu jest w tych warunkach rzeczą pierwszorzędnej doniosłości nie tylko dla tych, którym rozwój portu tel-avivskiego specjalnie leży na sercu, ale właściwie dla całego kraju. Trudno oczekiwać, aby ci, którym rozwój portu nie leży na sercu, to uznali. Fakt pozostał jednak faktem i zaczynają się z nim powoli godzić, jeśli nie Arabowie, to przynajmniej Anglicy.

Wiadomo, że port tel-avivski został do pewnego stopnia wydarty rządowi, który postawiono częściowo przed faktem dokonanym. Zdobywanie dalszych praw dla portu nie odbywa się także bezboleśnie. Trzeba wypracowywać każde posunięcie naprzód. Ale krok za krokiem rozszerza się lista towarów, które można w porcie wyładowywać. Narazie port służy tylko dla towarów. Przyjdzie jednak i ruch pasażerski. Dla faktu mają Anglicy respekt. A port tel-avivski, o którym jeszcze parę miesięcy po założeniu nie jeden urzędnik myślał że jest tylko przejściową żydowską fantazją, dobrą tak długą, jak długo port jaffski jest nieczynny, — port w Tel-Aviv jest faktem.

Sytuacja prawna portu jest dotąd nie określona. Nie ma koncesji i nie wiadomo ściśle, jakie są podstawy prawnicze jego istnienia. Powoli wytwarza się jednak i w tej dziedzinie seria ususów, która wraz z dość w Imperium Brytyjskim licznymi, precedensami podobnej natury wyznacza drogę rozwoju portu tel-avivskiego w kierunku „portu publicznego w prywatnym posiadaniu", jak się to w Anglii nazywa.

Mniejsza jednak o nazwę. Ważniejsze, że otworzyliśmy sobie to, co narody zwą, słusznie „oknem na świat": żydowski port w Tel-Aviv.

Tel-Aviv, 12. 5. 37.



Roman Brandstaetter

Stwórzmy żydowską samoobronę kulturalną!

Poruszę zagadnienie bolesne i drażliwe. Powiem kilka słów o postawie żydostwa polskiego wobec kultury żydowskiej w ogólności, a pisarza żydowskiego w szczególności. Pod piśmiennictwem żydowskim rozumiem cały dorobek literacki — w językach hebrajskim, żydowskim i polskim, tworzony przez Żydów, którzy nie utracili łączności z żydostwem w sensie narodowym, społecznym, czy kulturalnym, a dla których problemat kultury żydowskiej jest fundamentem ich światopoglądu i świadomości artystycznej. W tym zakresie sprawa pisarza wybiega daleko poza zasięg czysto literacki i urasta do rozmiarów zagadnienia kultury żydowskiej, jej zadań i celów. W sferze tych zjawisk stosunek społeczeństwa do pisarza staje się skrótem stosunku społeczeństwa — do własnej kultury.

Uczyńmy zatem porachunek naszego sumienia.

Sumienia? To sumienie chcę dziś przeprać! Wypowiem więc przekonanie, które może niejednego niemile zaskoczy: od czasu istnienia żydostwa polskiego na ziemiach polskich, od chwili, gdy tutaj w dorzeczu Wisły zjawili się pierwsi nasi praojcowie z Zachodu, nigdy dotychczas żydostwo polskie nie przeżywało tak katastrofalnej pauperyzacji kulturalnej, jak właśnie w dobie obecnej.

Społeczeństwo żydowskie w Polsce, ulegające raz po raz tragicznym wstrząsom materialnym i duchowym, ściśnięte obcęgami żydożerstwa, propagowanego przez polski obóz nacjonalistyczny, obskubane z piór przez antysemityzm, który jest i był reprezentacyjną cechą sarmackiej umysłowości, żydostwo polskie — duchowo przygnębione, zubożałe, zżarte pesymizmem, trwogą o jutro, od lat znajduje się w stanie permanentnego oblężenia. Oto obiektywne przyczyny kulturalnego kryzysu społeczeństwa żydowskiego w Polsce.

Ale nie chodzi nam w tej chwili jedynie o to, że z tych, czy z owych powodów zmniejszono nam do karykaturalnego minimum reprezentację parlamentarną, że żydowski straganiarz z Przytyka musi pod obuchem teroru opuścić swój stragan i odstąpić go chłopu polskiemu, że w jakimś tam miasteczku gromada ciemnych Korczaków zainscenizowała ekscesy antyżydowskie. Obecnie chcielibyśmy jedynie zapuścić sondę w żydowskie samopoczucie kulturalne i społeczne! Obecnie chcielibyśmy poznać jedynie siłę prestiżu społeczeństwa żydowskiego w Polsce w strefie własnej kultury! Chcemy upewnić się, że żydostwo polskie nie zaczyna się ani nie kończy się na straganach, że nie zaczyna się ani nie kończy się w witrynach sklepów spożywczych, rozbijanych przez oenerowców! Czyśmy—żydostwo polskie— nic dla siebie na ziemiach polskich nie stworzyli poza straganami? Czy w tych ciężkich czasach stragan jest jedynym bastionem i symbolem polskiego żydostwa? Czyż nasze dobre samopoczucie zależne jest jedynie od całego straganu żydowskiego? Czyli, mówiąc innymi słowy: gdyby antysemityzm polski nie ruszył na nas zwartą ławą i nie wydzierał nam naszych pozycji gospodarczych — czyżby w takiej chwili sielankowej i błogiej, żydostwo polskie posiadało dobre wewnętrzne samopoczucie, czyżby duchowy kościec tego społeczeństwa pozostał nienaruszony?

Stragan — to ważna pozycja! To byt tysięcy rodzin żydowskich, to reduta, o którą walczyć będziemy do ostatniej kropli krwi! (Ale dlaczego milczy społeczeństwo żydowskie w Polsce, gdy pisarz hebrajski, czy żydowski, czy polsko-żydowski w Polsce — nie może odnaleźć w Polsce dogodnego dla siebie warsztatu pracy, gdy coraz bardziej ulega materialnej pauperyzacji, gdy deklasuje się społecznie, gdy na ulicy Śliskiej w Warszawie, w centrum stolicy, u boku najliczniejszej gminy żydowskiej w Europie, kona z głodu jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy żydowskich Józef Gabowicz, artysta z bożej łaski, splendor i chwała pokolenia! Dlaczego milczy społeczeństwo żydowskie, gdy tam na ulicy Śliskiej, w szarej, odrapanej izdebce o kromkę suchego chleba walczy starzec, który w normalnych okolicznościach powinien żyć w dobrobycie! Wstydźcie się, Żydzi polscy!!! Czyż pracownia rzeźbiarza lub literata, borykającego się ze zmorą głodu i niedostatku — mniejszą stanowi wartość społeczną od straganu, wypełnionego starymi gaciami i dziurawymi kaloszami? Czyż artysta żydowski w Polsce mniejsze ma prawo do życia, niż biedny Żyd z przytyckiego straganu? Czyż jarmułka na straganie więcej jest warta od dzieła artysty żydowskiego, zagrożonego dziś z jednej strony przez polską „samoobronę kulturalną", a z drugiej przez karygodny indyferentyzm własnego społeczeństwa? Cóż za dziwna dysproporcja pomiędzy dbałością o stragan, a brakiem stosunku do zagrożonej własnej kultury!

Pozycja, która nigdy nie zawodzi, która jest źródłem potencjalnej siły społeczeństwa, jego zapleczem w chwilach groźnych, twierdzą nie do zdobycia — jest, była i będzie organizacja kultury umysłowej. Lecz własnej organizacji kultury myśmy w Polsce nie stworzyli! Dlaczego? Bośmy nigdy nie czuli potrzeby organizacji kultury, bo żydostwo polskie — w swej ogromnej większości—miało dotychczas jeden jedyny postulat: przysłowiowo - żydowską „parnusę", objawiającą się pod różnymi postaciami, począwszy od całego straganu, a skończywszy na niezablokowanym sklepie żydowskim! W żydostwie polskim, w przeciwstawieniu do normalnego i logicznego rozwoju dziejowego, kultura materialna nieproporcjonalnie potężnie rozwijała się w stosunku do kultury duchowej. Rozrost, krzepnięcie materialne Żydów polskich — nie szło w parze z rozwojem ich potrzeg intelektualnych. Rozbudowywano systematycznie, z nabożeństwem, z zapałem, z oddaniem, z czułością, z serdecznością jedynie kulturę materialną, a więc tę dziedzinę, która w każdej chwili, pod najsłabszym uderzeniem wstrząsu dziejowego — ulegała zniszczeniu! Ta krótkowzroczność żydowskiej plutokracji, której zawsze zdawało się, że swymi pieniędzmi zdoła się wkupić w łaskę ogcej kultury i zdobyć wstęp na froterowane posadzki równouprawnienia, przy równoczesnym zbagatelizowaniu kultury żydowskiej—teraz mści się na nas wszystkich! Żydowska plutokracja w Polsce nie weszła kuchennymi schodami do salonów równouprawnienia, ale swoim ubóstwieniem dobrobytu materialnego, jako jedynego czynnika wynoszącego Żyda ponad szarą masę żydostwa — zaraziła ogól, dla którego dziś dobrobyt materialny jednostki decyduje o całym jego prestiżu. Kultura żydowska poszła żebrać na bruk! Ale plutokracja nasza, zna się zna interesie! Ona wie, kiedy ma nas dyskontować! Gdy łobuz z antysemickiego obozu odmówi jej prawa obywatelstwa na ziemiach polskich, gdy poczuje się ona nagle zagrożoną w swej materialnej pozycji — wówczas niejeden plutokrata, który dotychczas z nonszalancją spoziérał na nasz trud, niespodziewanie krzyczeć będzie w niebogłosy: Co? My? My, którzyśmy stworzyli na ziemiach polskich własną kulturę? My, którzy daliśmy Polakom Iksa, Ypsylona i Zeta? W tym stanowisku tkwi peridia żydowskiej plutokracji!

A teraz problemat drugi, natury czysto moralnej. W świadomości szerokiego ogółu żydowskiego w Polsce — pisarz żydowski jest czymś nieskończenie niższym od pisarza np. polskiego. Snobizm, przeżerający aż do dna psychikę Żyda z Bielańskiej — każe mu widzieć w każdym pisarzu nie-żydowskim coś wyższego, coś bardziej dostojnego, nieskończenie bardziej interesującego od pisarza żydowskiego, do którego odnosi się zbyt często z karygodnym pobłażaniem, lekceważeniem i pustym, wypranym z wszelkiej godności, sceptycyzmem. Niechaj dziś Tuwim zacznie pisać po żydowsku i drukować swoje wiersze w „Hajncie", a jego prestiż moralny i artystyczny u Żydów z Bielańskiej natychmiast spadnie do zera! Przyczyny tego zjawiska tkwią głęboko w dziejowej duszy Żyda, a korzenie swoje zapuściły w kompleks małowartościowości, rozsadzającej od wewnątrz żydowską psychikę.

Oto zjawiska, w których tkwi geneza kulturalnego kryzysu żydostwa polskiego. Przejdźmy do poszczególnych faktów. Należy więc stwierdzić, że żydostwo polskie, trzymilionowa masa, nie zdołała zorganizować swego życia intelektualnego, nie zdołała dotychczas zmontować żadnych placówek pracy duchowej, nie stworzyła na szeroką skalę „Samoobrony Kulturalnej", począwszy od gęstej sieci szkół, instytutów naukowych, instytutów wydawniczych, reprezentacyjnych scen hebrajskich i żydowskich, muzeów żydowskich, dobrze zagospodarowanych bibliotek naukowych, periodyków naukowych i literackich — tych wszystkich instytucji, które by dawały żydostwu rękojmię, że wprawdzie można nam odebrać stragany, można nas wprawdzie ścisnąć pomiędzy buforami napierającego antysemityzmu, ale nigdy nie można nas ewakuować z tej ziemi, na której stworzyliśmy organizację naszej kultury umysłowej! Albowiem o sile wkorzenienia się w ziemię nie świadczy stragan, ani sklep, ani warsztat żydowskiego proletarusza, ani pałac żydowskiego plutokraty — ale przede wszystkim organizacja kultury umysłowej, która powinna być naczelnym postulatem trzymilionowego żydostwa, najsilniejszej liczbowo bazy ludzkiej w współczesnym żydostwie Europy, zbiornika potencjalnej potęgi żydostwa, źródła wspaniałych możliwości! Jeden Instytut Judaistyczny — to jeszcze nie wiosna! Jedno „Iwo" — to jeszcze nie wiosna! Jedynie mobilizacja wszystkich sił umysłowych, zwarta, systematyczna akcja na rzecz kultury żydowskiej w Polsce — oto, co może nas ratować przed zapadającym zmierzchem.

Otóż jaką wartość w obliczu tych „straganowych" kategorji żydostwa polskiego repreezntuje pisarz żydowski? Jakaż jest jego społeczna pozycja w łonie żydostwa polskiego? Odpowiedź jest prosta. Społeczeństwo, które na przestrzeni długich lat nie zdołało stworzyć własnej organizacji kultury umysłowej, własna literatura jest niepotrzebna i nie stanowi ona — wbrew wszelkim pozorom — dla Żydów polskich w ogromnej większości, żadnego autorytetu moralnego! Czytelnik żydowski w Polsce, zwłaszcza żydowski plutokrata — zaznaczam: w ogromnej większości — wynarodowiony, „wykulturalniony", nie tkwiący w żadnej kulturze, ani w polskiej, ani w żydowskiej, zawieszony w próżni, żyje na marginesie wielkich zdarzeń intelektualnych, na pograniczu dostojnego snobizmu i karygodnego indyferentyzmu. Czyż zatem w tych kategoriach bałkanizacji kultury żydowskiej w Polsce, pisarz żydowski w Polsce może odnaleźć dla siebie przychylną atmosferę i dogodne warunki pracy? Czyż może powstać wielkie piśmiennictwo poza granicami jakiegokolwiek oryginalnego ośrodka kulturalnego, poza jego polem magnetycznym? Czyż może rozwinąć się w pełni talent pisarski w okresie, w którym trzymilionowe zydostwo polskie posiada 1 tygodnik hebrajski, 1 tygodnik żydowski (jidysz), gdy Warszawa nie posiada teatru zydowskiego na europejską miarę, gdy narodowe żydostwo warszawskie nie może zdobyć się na narodowe pismo żydowskie w języku polskim? Czyż to są warunki wśród których pisarz żydowski może tworzyć i się rozwinąć? Stan ten świadczy niezbicie, że żydostwu polskiemu starczy to co jest, a więc marazm duchowy, pogłębiający się kryzys kulturalny, bałwochwalczy kult felietonowych łatwizn! Uczy nas historia, że objawy takie zauważyć można w społeczeństwach, stojących w obliczu zbiorowego hamletyzmu, w społeczeństwach, którym nie jest potrzebne wyzwolenie socjalne i kulturalne, ale sucha okruszynka tolerancji, podana na dłoni, klepiącej niekiedy łaskawie po ramieniu, lecz również często zaciskającej się w groźną pięść!

A teraz problemat równie ważny i bolesny. Przez dwa tysiące lat zbawialiśmy świat, ofiarowując mu dorobek artystyczny i intelektualny najlepszych naszych synów. Nie mamy jednak w tej chwili zamiaru wyliczać naszych wkładów do kultury europejskiej, ani — polskiej. Chcemy jedynie stwierdzić obiektywny fakt, że w porównaniu z tym wszystkim, cośmy zdziałali — rozrzutne żydostwo polskie — dla dobra kultury polskiej, praca nasza na rzecz własnej kultury jest drobna, mikroskopijnie mała. Po prostu — własną kulturę traktowaliśmy po macoszemu, z pozą hojnego bogacza ofiarując Polakom nie jeden klejnot z naszej duchowej korony. Jest to typowo rabunkowa gospodarka z góry obliczona na — plajtę! Skąd ten objaw? Naszym zdaniem tkwi on również głęboko w pokładach duszy żydowskiej. Otoż bowiem społeczeństwo żydowskie w Polsce zawsze liczyło na polską demokrację, na polski liberalizm, na jego sumienie, na jego moralny i etyczny majestat — nigdy natomiast nie liczyliśmy na siebie samych, na własną siłę duchową, na własny liberalizm, na własny prestiż kulturalny. Zawsze zdawało się snobom żydowskim że wkraczając w świat obcy — dostępują wyższego objawienia i najdostojniejszego usankcjonowania swego trudu. Dziś okazało się, że na nikogo obcego liczyć nie można, że nawet co najszlachetniejsi — ot, byli liberali i wczorajsi demokraci z tamtej strony barykady — przechodzą obecnie na stronę naszych wrogów. Nie jeden z was — dostojsne snoby — doszedł dziś, po wielu bolesnych doświadczeniach do bolesnego wniosku, że np. taka literatura hebrajska czy żydowska, choć nie może poszczycić się żadnym laureatem Nobla i setką nagród państwowych — stoi jednak stokroć wyżej od nie jednej obcej literatury, gdyż posiada wysokie poczucie moralne i szlachetny patos etyki. A te walory stanowią przede wszystkim o wielkości każdego piśmiennictwa. Literatura hebrajska czy żydowska — nie wydała ludożerców!

Lecz niestety jeszcze kilka lat takiej atmosfery intelektualnej w żydostwie polskim, a chłop z gór albańskich będzie w porównaniu z nami Schoengeistem, jeszcze kilka lat takiego kryzysu duchowego, a pisarz żydowski nolens volens emigrować będzie musiał z Polski, aby chleb znaleźć poza żydowskim ośrodkiem kulturalnym w Polsce, aby odnaleźć zagranicą, w innych ośrodkach żydowskich przychylną atmosferę, serdeczne zrozumienie i sprawiedliwą ocenę jego ciężkiej i odpowiedzialnej pracy.

Żydostwo polskie snobistycznie wpatrzone w dorobek kultury europejskiej, której dziś najwyższą emanacją i dominującym czynnikiem jest faszyzm, tak obcy duchowi żydowskiemu — nie chce wrócić do oryginalnych źródeł własnego dorobku duchowego, do żyznego, demokratycznego poglebia własnej kultury — sądzi, że drapanie gnijącego naskórka kultury europejskiej równa się postępowi i oświeceniu! B'ufi! Kultura europejska zdradziła Żyda! Nie odarzyła go światłem, ale ograbiła go z wielu wartościowych i dostojnych elementów duchowych, które z sobą ongiś przyniósł z nad wybrzeża palestyńskiego!

Zatem przed społeczeństwem żydowskim w Polsce i przed pisarzem żydowskim stoi dziś — w obliczu wielkiego przewartościowania wartości sfaszyzowanej kultury europejskiej — jedna droga: powrót do źródeł własnej kultury, do okopów, zamykających szczelnym, fortyfikacyjnym pierścieniem żydostwo przed naporem wrogich sił. W tej twierdzy kultury żydowskiej odnajdziemy może własną, demokratyczną duszę dziejową, nieprzeżartą fetorem rozkładających się resztek europejskiej umysłowości!

Tych kilka słów, które tu napisaliśmy, nie wypłynęły z żydowskiego Selbsthassu; były one jedynie drobnym wyrazem goryczy ludzi, którym jest za ciasno w kategoriach naszych pseudo-pojęć! Dusimy się! Nie posiadamy ani dogodnych warsztatów pracy, ani—konsumenta- Dusimy się! A z nami dusi się całe młode pokolenie, bolesne, tragiczne pokolenie Żydów polskich! Głos nasz — jest głosem rozpaczy! Niechaj ten gorzki zew nie spłynie po was bez śladu!!

Mieczysław Braun

Pisarze polscy, czy „pisarze żydowscy piszący po polsku," albo pisarze „polsko—żydowscy"?

Udział Żydów w literaturze polskiej, doniosły pod względem wartości twórczych, wpływu i znaczenia, a ostatnio coraz liczniejszy, wywołał zagadnienie przydziału pisarzy; zagadnienie o tyle proste, że język polski jest językiem ojczystym wielkiej liczby Żydów. Ale w atmosferze ostrego antagonizmu wynaleziono kwestię żydowską — w literaturze. W tym klimacie zrodziło się pytanie: do jakiej literatury — polskiej czy żydowskiej — należą utwory, pisane przez autorów Żydów po polsku. Wszczęte zostały średniowieczne dysputy nad wyborem kryterium jakie należy stosować — rasowe, narodowe, czy psychologiczne — przy zaliczaniu pisarza do grupy kulturalnej, do obszaru piśmiennictwa.

W obozie antysemickim już odebrano Żydom paszporty literackie i wysiedlono ich z granic literatury polskiej, u jej wrót stanął nacjonalizm i pod wodzą kilku mieszańców ściśle konroluje pochodzenie autorów, na talent patrząc przez palce. Któż więc jest pisarzem polskim, a kto żydowskim? Czym winien legitymować się pisarz — nie przed samozwańczymi strażnikami z pałą nacjonalizmu w rękach, ale przed — literaturą polską?

Niech odpowiedź da klasyczny przykład Korzeniowskiego, Polaka, który jako Conrad zasłynął w literaturze angielskiej. Pisarz polski, Pol, byl Niemcem, rosyjski Gogol — Ukraińcem, francuski Moreas — Grekiem, francuski Panait Istrati — Rumunem, Bernard Shaw jest Irlandczykiem itd., przykładów podobnych wiele możan przytoczyć.

Jeden jest wzgląd stanowiący o przynależności pisarza: język, w którym pisze, język — jego tworzywo i instrument. Nie uda się nikomu oderwać twórcy od podłoża językowego; pisarz i jego słowo stanowią jedność i wzajemnie się tworzą. Dla poetów, — a dzisiaj większość Żydów piszących w Polsce to poeci o wysokim na ogół poziomie sztuki, — język jest integralną częścią twórczości. Gdy co dziesiąty człowiek w Polsce jest Żydem, a śród poetów chyba co trzeci, — nie trzeba wyraźniej już podkreślać tej sprawy. Oznaczanie przynależności pisarza do literatury — bez względu na jego narodowość — tylko według języka w którym pisze, jest czymś więcej niż ujęciem formalnym: jaki język taka literatura, — bo duch języka przenika dzieło i autora i wiąże go z przeszłością literatury. Ten duch jest niepodzielny, wyciska piętno na utworze artystycznym nie dające się odtworzyć w przekładzie, stanowi o wartości i charakterze utworu.

Dzieła pisarzy polskich, Żydów, należą do literatury polskiej i są organicznym ogniwem w jej rozwoju, wynikają z przeszłości i nawarstwienia kulturalnego i z ducha literatury polskiej. Dzisiejsze czasy wymagają wypowiedzenia tej prawdy, która niedawno jeszcze wydawałaby się komunałem. Ten dorobek twórczy, — wkład bezinteresowny i bezcenny, — jest najwyższym dowodem jedności kultury. Istotny probierz językowy nigdy nie zawodzi, bowiem opiera się na podłożu rzeczywistości twórczej.

Żyd piszący po polsku nie jest — rzecz prosta — pisarzem żydowskim, lecz polskim, a określanie go jako pisarza żydowskiego piszącego po polsku — to wymysł antysemitów. Podobnych fałszów godzących w kulturę antysemici rozpowszechnili wiele bądź z ciemnoty, bądź dla swych celów. Głównym z nich jest konstrukcji niemieckiej „klucz rasowy", a u nas wymyślona ostatnio fikcja „rasy psychicznej".

Badacza kultury, psychologa i biografa zaciekawi analiza drogi rozwojowej pisarza, jego środków artystycznych i stanów duchowych w związku z pochodzeniem, środowiskiem, a przede wszystkim — przynależnością klasową. Może być z tych punktów widzenia interesujące wyszukiwanie (częściej: dopatrywanie się) cech, uznanych za typowe dla słowianina czy semity, ale absurdem byłoby zaliczanie pisarza piszącego np. po angielsku do literatury polskiej ze względu na dane biograficzne. W ten sposób można dowolnie podkreślać cechy wybitnych indywidualności — nie będących nigdy typami narodowymi — i następnie klasyfikować według rodzajów „rasy psychicznej".

Chętniebym dał zwolennikowi tej teorii do „analizy rasowej" kilka dzieł bez wymienienia autorów, niechby powiedział, który utwór wyszedł spod pióra żydowskiego! Niech odgadnie „na ciemno" choć by wyczuwał pismo nosem (aryjskim czy żydowskim)! Inaczej, jeżeli się wie kto jest autorem, skąd rodem i jaki ma glejt polityczny, wtedy łatwo dopatrzeć się właściwości psychicznych zależnie od gustu wybierającego i celów, do których dąży.

Do niesłusznych należy również często spotykana etykieta: pisarz „polsko-żydowski", przyklejana nieraz autorom poruszającym tematy z życia żydowskiego. Ani temat ani jego ujęcie nie mogą stanowić o przynależności pisarza. Piękne tematy żydowskie w utworach Orzeszkowej, Konopnickiej i Świętochowskiego nie uczyniły ich twórców pisarzami „polsko-żydowskimi". Ossendowski nie jest polsko-azjatyckim, ani Fiedler polsko-brazylijskim pisarzem. Temat, zresztą, nie jest czynnikiem pierwszorzędnym w utworze artystycznym.

Przywiązanie pisarza polskiego, Żyda, do narodu żydowskiego, z którego męczeńskim losem jest związany tym silniej im wyższe ma poczucie godności osobistej i twórczej, im szerszą ma skalę wrażliwości etycznej, — nie jest sprzeczne z naturalną więzią, która splata go z kulturą polską i językiem w jedność organiczną. Nie ma w tym dwoistości: przynależność do narodu żydowskiego i do kultury współczesnej w jej polskim wyrazie godzą się ze sobą.

Gdy przed stu laty mickiewiczowski mistrz tonów dawał na cymbałach koncert nad koncertami, słuchały go „wszystkie stany". To nic, że dzisiaj nad mistrzem chcą zapanować — cymbały...

Głos nie mających prawa mówić o kulturze nie liczy się. Bezprawiem można eksterminować Żydów, skazywać ich na nędzę i głód; można deptać godność bezbronnych; przekreślać zasługi; ignorować wartości; ale nie ma takiej siły, która by w ogólnym dorobku kulturalnym zdołała zniszczyć udział żydowski, nie obracając w niwecz podstaw kultury.

Przenikanie brukowych haseł nienawiści rasowej do sfer zbliżonych do literatury, do środowiska inteligencji, świadczy o gangrenie moralnej, już daleko posuniętej. Istnieją pisma literackie nie drukujące autorów, którzy — o, ironio! — mają o jedną babkę żydowską więcej niż redaktorzy tych pism. Istnieją zastępy młodocianych poetów, którzy naśladują wielkie talenty poetyckie Żydów, ale bryzgają nienawiścią w ich stronę. Istnieją ich krytycy, profesorowie uniwersytetu, którzy w historii współczesnej literatury polskiej stosują hitlerowskie metody piętnowania Żydów-poetów, Żydów-pisarzy. Nie mogą ująć im znaczenia, za to imputują im ideologię i ducha „obcości" fałszując prawdę tak, jak tylko można ją fałszować w naukach humanistycznych. Ci luminarze biorą sobie za wzór Streichera.

Symbolem antyesmityzmu w literaturze, „antysemityzmu dla oświeconych", jest walka z Heinem, prowadzona w Trzeciej Rzeszy. Ta nierówna walka skończy się tryumfem wielkiego poety i wartości, które reprezentuje. Heine będzie żywy wiecznie tam, gdzie utrzyma się — bodaj w katakumbach — ostatnia iskra inteligencji.

Fala ciemności jak nadciągnęła, tak odpłynie. Może chwila duchowego przebudzenia się Europy jest bliższa niż się wydaje ludziom, ogarniętym zwątpieniem dzisiejszego dnia.

W czasach, gdy znowu będą mierzyć pisarzy jedynie miarą talentu i zdobyczy duchowych, wywód rodu autorów znajdzie miejsce właściwe — w biografii, a ogólnoludzkie znaczenie twórczości nie będzie wymagało etykiety rasowej.

Przegląd cywilizacji współczesnej w Paryżu

600 Kongresów międzynarodowych — 60 milionów turystów

Uroczyste otwarcie Powszechnej Wystawy Światowej w Paryżu nastąpi 24 maja r. b. Wystawa Paryska 1937 obudziła w całym niemal świecie niezwykłe zainteresowanie. Wartość jej dla dorobku kulturalnego XX wieku będzie ogromna.

Wystawa stanowi od wielu miesięcy wielką sensację zarówno w życiu politycznym, jak i w świecie kulturalnym. Przejawiło się to niespodziewanie wielką ilością zamówień na tereny wystawowe. Do wszystkich sekcji, których jest ogółem 80, napływają coraz nowe zgłoszenia. Zmusiło to francuskie władze wystawowe do ograniczenia już przeznaczonych pomieszczeń.

Ponad 50 państw świata będzie oficjalnie reprezentowanych. Ogromna masa ludzi z całego niemal świata wybiera się lądem i morzem na Wystawę Paryską. W Ameryce już teraz kupiło bilety podróży na Wystawę 500.000 osób. Amerykanie chętnie jeżdżą do „stolicy świata". Francuzi liczą na przyjazd 60. milionów gości.

Liczba zgłoszeń polskich na wycieczki do Paryża rośnie z każdym dniem i ma dojść do 100.000. Biura podróży są zasypywane zgłoszeniami na wyjazdy i organizują plany wycieczek.

Gdzie jednak przyjezdni będą mieszkali dotychczas — niewiadomo. Szalony wzrost cen. Już obecnie, kilkanaście dni przed właściwym otwarciem Wystawy, panuje wszędzie przepełnienie. We wszystkich prawie paryskich hotelach pokoje są już pozajmowane. Zostały bowiem one zajęte przez ogromną armię cudzoziemców, zatrudnionych przy budowie kilkuset pawilonów. Obliczono, że około 20.000 robotników pracuje dzień i noc, zużywając 10 milionów godzin pracy ogólne zaś koszty wynoszą 1 miliard franków.

ISTOTNY CEL WYSTAWY.

Gdzie leży źródło tego niezwykłego zainteresowania?

W założeniu swym Wystawa Międzynarodowa powinna być przeglądem wszystkich zdobyczy współczesnej cywilizacji. Każdy, kto będzie ją zwiedzać, niezależnie od zawodu, jakiemu się poświęca — przemysłowiec, czy artysta, rolnik, rzemieślnik czy uczony — będzie mógł w przeciągu krótkiego czasu ujrzeć, niby w kalejdoskopie, syntetyczny obraz postępu, dokonanego we wszystkich dziedzinach na całym świecie.

Wystawa bierze sobie za zadanie przedstawienie wielkiego postępu, osiągniętego przez nasze pokolenie. Zestawienie ma być pouczające dla każdego narodu i wskazać mu w jakim kierunku dążyć powinny jego wysiłki, celem zachowania swego stanowiska lub polepszenia tegoż.

Głównym hasłem obecnej wystawy światowej jest „sztuka i technika w życiu współczesnym". A więc sztuka przystosowana do życia, sztuka, której towarzysza wszystkie zdobycze techniki. Z niektórych wystaw szereg ludzi wyciągnął wniosek: „maszyna stała się przyczyną nędzy i nadprodukcji!" Naturalnie, że wniosek taki jest w pojęciu każdego kulturalnego człowieka absurdem i świadczy o powierzchownym potraktowaniu zagadnienia. Chodzi bowiem o to, aby człowiek, który stworzył maszynę, nie stał się jej niewolnikiem.

SZTUKA I TECHNIKA W ŻYCIU LUDZKOŚCI.

Otóż wszystkie zdobycze myśli i wiedzy ludzkiej i wszelkie ich zastosowania w dziedzinie sztuki i techniki mają stanowić pewną harmonijną całość na użytek współczesnego człowieka, aby życie jego było lepsze, bardziej celowe i zarazem piękne. Ta właśnie współpraca artystów i techników przyczyniła się w ostatnich czasach do najszerszego rozpowszechnienia piękna w różnych jego formach.

W dzisiejszych czasach, kiedy wiele dziedzin życia jest zmechanizowanych, owo połączenie czynników technicznych (rzemiosło, przemysł) z czynnikami sztuki, wprowadzajacej pierwiastek indywidualny, ma wielkie znaczenie dla ludzkości. Wiele osób wyraża się obecnie krytycznie o t. zw. „amerykanizacji" w technice, a co właściwie osiągnęło swój szczytowy rozwój nie w Ameryce, ale w Niemczech i w Rosji Sowieckiej. Tak daleko posunięta mechanizacja wszystkiego zabija właściwie odrębne cechy narodowe i indywidualne w twórczości. Hasło standaryzacji, racjonalizacji, normalizacji, usunęło na drugi plan albo zniszczyło czynnik indywidualny.

Odrodzenie tych cech i harmonijne poprzeciwstawiły się tym tendencjom, kultywując odrębne wartości i trzymając prym w estetyce.

FRANCJA PROMOTOREM POSTĘPU

Odrodzenie tych cech i harmonijne połączenie ich z nowoczesna techniką będzie zadaniem tegorocznej wystawy paryskiej. Na wystawie uwypuklone będą główne zasady techniczne i architektoniczne, które w chwili obecnej należałoby wcielić w życie.

Wystawa stanowi pewnego rodzaju podsumowanie danego okresu kultury i cywilizacji. Demonstruje bowiem wynalazki techniczne, odkrycia naukowe i dzieła sztuki. A wszystko przedstawione jest często w rozwoju historycznym. W ten sposób wystawy stają się nie tylko odbiciem życia współczesnego, ale wskazują zarazem nowe drogi do życia lepszego.

CZYNNIK WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ.

Znaczenie wystaw międzynarodowych jest poważne nie tylko pod względem społeczno-gospodarczym; — sięgają one również w życie umysłowe i intelektualne dzięki licznym kongresom miedzynarodowym, jakie zwykle się odbywają podczas ich trwania.

Wystawy światowe mają za sobą ciekawą historię. Jeszcze w czasach starożytnych znane było, bubliczne wystawianie przedmiotów ciekawych, lub bardzo cennych. Najczęściej odbywało się to z okazji powrotu ze zwycięskiej wojny. Wodzowie i możni władcy urządzali wówczas publiczne pokazy swych skarbów, lub zdobyczy.

Dawne kroniki podają, że w 1268 r. w ówczesnej ojczyźnie handlu — Wenecji, odbyła się wielka wystawa przemysłowa, w której wzięło udział blisko 200 wystawców. Według naszych pojęć były to właśnie t. zw. „targi", z których niektóre, jak np. słynne Targi Lipskie datują się od XII wieku. W średniowieczu odbywały się one głównie z okazji koornacji i świąt kościelnych, w czasie których rzemieślnicy i artyści wystawiali najpiękniejsze swe dzieła.

W dawnych czasach publiczna prezentacja niektórych działów handlu i przemysłu miała charakter „okręgowy", a w najlepszym wypadku ograniczyła się przeważnie do jednego kraju. Jedną z poważniejszych była wystawa różnych gałęzi przemysłu i handlu, urządzona w 1756 r. w Londynie. Dopiero jednak przy końcu XVIII stulecia zdecydowano się na urządzenie wystawy o charakterze „uniwersalnym", gdzie chciano zaprezentować zarówno swoim jak i obcym najpiękniejsze twory w przemyśle, rolnictwie lub sztuce.

FRANCJA TWORZY WYSTAWY WSPÓŁCZESNE.

W Paryżu w r. 1798 mamy pierwszą, w sensie współczesnym, wystawę, zakrojoną na miarę europejską. Zorganizowana została przez Dyrektoriat — rząd republiki francuskiej, w krótkim czasie po obaleniu monarchii. Znaczenie jej dla rozwoju francuskiego handlu i przemysłu było ogromne. Miała ona również i znaczenie polityczne, albowiem obok wzmocnienia nowych rządów republikańskich, chciała się przeciwstawić ówczesnej Anglii, która była wtedy jedynym mocarstwem przemysłowym.

Następne dwie wystawy zostały urządzone przez Napoleona I w r. 1801 i 1806. Od owych czasów Francja przodowała w dziedzinie organizacji wystaw. Tam też powstała myśl zorganizowania pierwszej międzynarodowej wystawy. Projektowano jej otwarcie na 1849 r; wskutek jednak trudności wewnętrznych nie została wykończona.

NAJPIĘKNIEJSZE WYSTAWY ŚWIATOWE.

Wystawa wszechświatowa, zbliżona do współczesnych, została zorganizowana w Londynie w 1851 r. z udziałem wystawców wszystkich krajów. Wystawa ta odniosła wielki sukces. Miarą jej wielkości była liczba 17.000 wystawców i 6 milionów zwiedzających. W zbudowanym wówczas olbrzymim Pałacu Kryształowym (spłonął niedawno) miała miejsce światowa wystawa prac ze wszystkich dziedzin i techniki. Dochód z niej wynosił ponad milion funtów szterlingów.

Sukces tej wystawy zachęcił Francję do zorganizowania w 4 lata później międzynarodowej wystawy w Paryżu (1851 r.). Trwała ona aż 6 miesięcy. Na wystawie tej Francja wystąpiła w pełni swego wspaniałego dorobku. Powodzenie jej było olbrzymie. Zwiedziło ją blisko 5½ miliona ludzi, przy czym liczba wystawców osiągnęła cyfrę 24.000.

Od owego momentu rozpoczyna się między Anglią, a Francją rywalizacja w organizowaniu międzynarodowych wystaw. Mamy więc wystawy: w roku 1862 — w Londynie, 1867 — w Paryżu, 1874 — we Wiedniu. Celem zaś upamiętnienia stulecia ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zorganizowano w Filadelfii w 1876 r. siódmą z kolei wystawę wszechświatową.

Wspaniałym triumfem Francji była wystawa w roku 1878 w Paryżu za czasów Trzeciej Republiki. Wzięło w niej udział 52.000 wystawców i 16 milionów zwiedzających. Na wystawie odegrano po raz pierwszy oficjalnie „Marsyliankę". — Wystawa zostawiła po sobie trwały ślad. Był nim słynny pałac „Trocadero" (obecnie znacznie przebudowany i rozszerzony).

W następnych latach odbył się szereg mniejszych wystaw. Celem uczczenia stulecia Wielkiej Rewolucji Francuskiej powstała wielka międzynarodowa wystawa w Paryżu w r. 1889; zadziwiła ona świat. O powodzeniu jej zaświadczy 26 milionów gości oraz 56.000 wystawców. Pozostawiła po sobie wiele pięknych i monumentalnych budynków, a przede wszystkim słynną wieże Eiffla — „cud świata".

Dla upamiętnienia zaś „zakończenia XIX-go stulecia" zorganizowano w Paryżu w r. 1900 wspaniałą wystawę światową, która zachowała się w pamięci jako jeden z najpiękniejszych tworów kultury i cywilizacji współczesnej. Liczba zwiedzających doszła do rekordowej cyfry 40 milionów. Wystawa pozostawiła po sobie wiele cennych pamiątek architektury.

Od owego czasu przekonano się o wielkim talencie Francuzów w organizowaniu wystaw światowych, co również zjednało Paryżowi nazwę „stolicy świata". Większą wystawę pod względem obszaru, urządzili Amerykanie w St. Louis w 1904 r.

OSTATNIE CZASY — PARYŻ 1937 r.

Po wielkiej wojnie odbyło się kilka wystaw, zakrojonych na szerszą skalę. Z pośród najciekawszych należy wymienić: wystawę Wielkiej Brytanii w Wembley (1924 r.), paryską wystawę sztuk pięknych (1925 r.), hiszpańską — w Barcelonie i Sewilii (1929 r.), francuską kolonialną w Paryżu (1931 r.). Celem zaś uczczenia stulecia powstania miasta Chicago (1933 r.) urządzono XIII międzynarodową wystawe techniczną pod hasłem „Wiek Postępu".

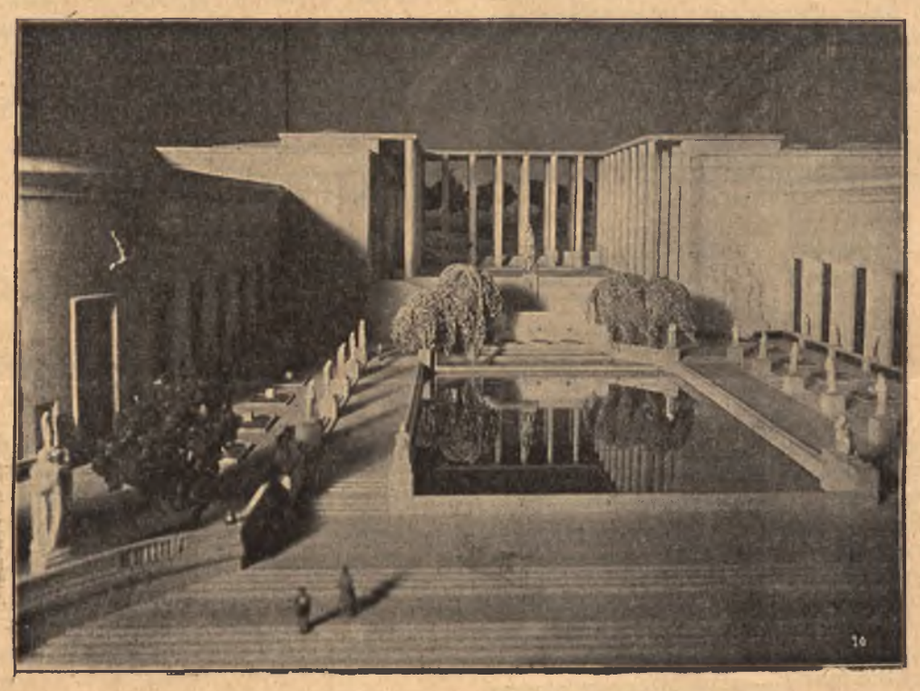
Obecna zaś Wystawa Wszechświatowa w Paryżu ma być przeglądem najwspanialszych zdobyczy techniki i sztuki. Na odbytej niedawno konferencji, zapytano Generalnego Komisarza Wystawy:

— Jaki jest właściwie główny cel tej olbrzymiej imprezy?

— Najgłębszym, najistotniejszym zadaniem wystawy jest apoteoza ludzkiego geniuszu i pracy. W chwili, gdy Europa wciągnięta jest w zbrojenia i widmo zniszczenia czai się nad światem, chcemy pokazać sukces wspólnej twórczości uczonych i artystów.

Przedtawimy postęp i wzrost kultury — dzieła pokoju i współpracy narodów. Wystawa mówić będzie o lepszej przyszłości i odrodzeniu świata.

Dr. A. W.



PAWILON SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

M. Klausner

Murzyn opowiada Biblię...

(Wrażenia z podróży)

Zurich, w maju.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że jadąc z Palestyny do Europy szuka się tego wszystkiego, co tworzą żydowscy artyści, w produkcji teatralnej i filmowej, tego wszystkiego co ma jakiś związek z życiem żydowskim.

W Erec odnosi się wrażenie, że w publicznym życiu artystycznym Europy mało już można znaleźć śladów żydowskiego ducha. Ale, ku naszemu zdziwieniu i radości, obawa ta okazuje się nieuzasadniona.

W Mediolanie słyszałam w Towarzystwie Muzycznym pianistę Izaaka Achrona, który odegrał pierwotne wykonanie sonaty z wariacjami I. Achrona.

W Zurychu pracuje reżyser Lindberg w „Schauspielhaus" oraz z trupą doskonałych aktorów — wszystko prawie żydowscy emigranci. Dlatego też teatr ten jest w ciężkiej sytuacji. Minęły czasy, gdy można było, pod opieką policji, grać przy przepełnionej widowni „Prof. Mannheim und Rasen". O wystawieniu pięknej, szlachetnej sztuki Elsy Lasker-Schueler: „Artur Anonymus i jego ojcowie" — pisała zurychska prasa tak ostro, że dyrektor był zmuszony po dwóch przedstawieniach wycofać tę cudowną sztukę. Nie pomogło nawet, że „Baseler Nationalzeitung" chwaliła dzieło i inscenizację Lindberga. Teraz wystawiona jest tam sztuka Marianne Resar, siostry Werfla: „Turandot abdykuje".

Ciekawe było usłyszeć od reżysera Hartunga, który pracuje teraz w międzynarodowym „Bühnenverlag" Kurta Reissa, że dziś jeszcze najwięcej granymi autorami są Żydzi: Brückner, Frank, Bernstein, 75-cioletni już Ludwig Fulda i inni. „A gdzież są wasi młodzi poeci?" zapytał mnie „Jedna ze sztuk, która u was powstała ma zdaje się wielkie możliwości. To: „Jakob und Christian" — Rassenkomodie Sammy Gronemana.

Ale wszystko, to co widziałam i słuszałam nie pozostawiło jednak silniejszego wrażenia. Nie wstrząsnęło mną żadne niezwykłe wzruszenie. Np. film z Conradem Veidtem. Żyd tułacz wg. Eugenjusza Sue jest słabszym filmem nawet niż był „Żyd Süss" Czy Conrad Veit nie jest przypadkiem Żydem, że tak się wżywa w żydowskie cierpienia? Szkoda tylko, że to wniknięcie artysty w dolę żydowską nie daje dzieł o większej artystycznej i humanitarnej wartości.

Lecz wśród tej przeciętności stało się coś dziwnego. Wstąpiłam w Zurychu do małego kina i zobaczyłam — murzyńską Biblię. Sztuka „Green Pastures" miała w Ameryce sensacyjne powodzenie — w Londynie zaś poniosła zupełne fiasko. Warner Brothers filmowali ją. Bezprzecznym jest fakt, że to żydowskie towarzystwo filmowe położyło wielkie zasługi na polu żydowskiej sztuki. Przypominamy sobie, że oni pierwsi wprowadzili film o Żydach, jak np. Al Jolson o śpiewaku jazzowym. Warner Brothers wysuwali Żydów jak np. Paula Muni, oni pierwsi wzięli na siebie ryzyko wystawienia reinhardtowskiego filmu. A teraz przedstawili Biblię **naszą** właśnie Biblię — Nowego Testamentu są tam zaledwie przebłyski.

Jeżeli wierzyć w to, że kiedyś ktoś z wielkich ludzi filmu zainteresuje się serio Palestyną — słowem i obrazem dzisiejszego „tworzenia się" życia palestyńskiego to powinna to być właśnie wytwórnia Warner Brothers.

Zdaje mi się, że film o Biblii „Green Pastures" zciągnąłby do teatrów w Palestynie dziesiątki tysięcy ludzi — pobożnych i niepobożnych, dzieci i starych, nie mówiąc już o robotnikach i inteligencji.

I cóż to za film? „Murzyn opowiada Biblię" brzmi tłumaczenie tytułu. Wiemy z literatury, że murzyni odnoszą się do Biblii z wielką miłością, Biblia jest zawsze, Bóg zawsze czuwa. Znamy też cudowne „Spirituals" ich chóry, którymi cały ten film jest przepojony od początku do końca.

Amerykańska wioska murzyńska. Niedzielny ranek. Małe dzieci od 4 do 8 lat idą do szkoły niedzielnej. Pastor-murzyn uczy je Biblii, t. zn. opowiada im biblijne historie. Chmury na niebie rozstępują się, widać wielki ogród, pełen murzynów. Dzieci, dorośli, starzy, młodzi — wszyscy mają przy ramionach skrzydła. Skrzydła są białe, a murzyni czarni. W niebie jest wszystko, co się lubi: smażone ryby, i dziesięciocentowe cygara, huśtawki i piosenki murzyńskie, i dobry, dobry Bóg. Bóg zjawia się (Rex Ingram) w czarnym surducie, z tak dobrodusznie uśmiechniętą twarzą, wie wszystko i zna wszystko. Pewnego razu staje się tak, że z powietrza, ze sklepienia niebieskiego Bóg tworzy ziemię. I widzimy zupełnie dokładnie, razem z tysiącami murzyńskich aniołów, kórzy ciekawie spoglądają przez płot Rajskiego Ogrodu: prawdziwa kula powstaje z chmur. Nawet Pan Bóg jest zaciekawiony i nasi aniołowie śpiewają pieśni pochwalne, bodczas gdy Pan zstępuje wśród chmur na ziemię. Tam z radością znajduje murzyńskiego chłopca - Adama. Pan zamyka oczy — a oto jest już i Ewa. Jesteśmy zdumieni. Ewę wyobrażano zawsze piękną, a tu ma nos spłaszczony — jest rażąco brzydka. Ale Adamowi się podoba. Pan w towarzystwie czarnego Gabriela spogląda z okna swego biura w niebie z uśmiechem, na swoje dzieło. Wszystko dobrze zrobił. „A co u was słychać?" pyta z uśmiechem kwiatki, rosnące przed jego drzwiami. — „Dziękujemy, dobrze, Panie!" skłaniają kwiaty swe główki.

Ale Pan staje się smutny. Gdy Kain zabija Abla, coraz bardziej smuci go zły świat, aż wreszcie postanowia znów zejść na ziemię, by sprawdzić co właściwie tu nie jest w porządku. I spotyka dziewczyny, które w niedzielę grają z chłopcami na banio — i to nawet nie z jednym. Potem widzi, że ktoś się modli — ale i to przy grze w kości o wygraną. Żaden murzyn nie chodzi do kościoła, żaden nie myśli o nim. A pastor skarży się, że musi sam sobie wygłosić w kościele kazanie. Wtedy Pan postanawia uratować pastora Noego, jego żonę, trzech synów oraz wszystkie zwierzęta. Murzyńskie „girls" i „boys" śmieją się z komicznej arki, aż przychodzi deszcz, któremu nie mogą ostać się ani parasole, ani nieprzemakalne płaszcze. Wówczas ustaje śmiech. Ale arka płynie spokojnie tylko do chwili, kiedy wypuszczony gołąb przynosi gałązkę oliwną.

I znów po długim czasie posmutniał Pan — nie smakują mu już dziesięciocentowe cygara, ma zmartwienia. Zjawiają się trzej praojcowie i błagają o uwolnienie ich synów z niewoli Faraona. Bóg zstępuje do Mojżesza, ktory jest zupełnie zwykłym murzynem. Krzew cierniowy płonie, Aron towarzyszy Mojżeszowi.

Mojżesz i Aron w miejskich szatach przybywają do Faraona. Teraz jesteśmy na błyskotliwej rewii jazzowej. Mojżesz sprawia cuda swoją laską, Faraon jest zachwycony, nie wypuszcza jednak Żydów. Dopiero gdy giną wszyscy pierworodni, daje pozwolenie opuszczenia kraju.

Do tego momentu śmieliśmy się wszyscy z tej wzruszającej dla nas już tak dalekiej prostoty i naiwności, naraz... Długie, postrzępione szaty noszą Żydzi z końcem 40-letniej wędrówki po pustyni. Śpiewają pięknie. Mojżesza, tego samego Mojżesza, lecz ozdobionego teraz długą białą brodą, opuszczają siły. Jozue z wzburzeniem donosi o bitwie pod Jerycho. Wówczas żegna Mojżesz wszystkich swych synów, całuje Arona i przyrzeka im pomoc Boga pod Jerycho; jest przy tym bardzo smutny. Inni odchodzą z dość lekkim sercem. Odchodząc każdy kładzie dłoń na ramieniu ślepca, który dotyka każdą z tych rąk — już po raz ostatni. Nagle — szuka naoślep rękami — tak, to była już ostatnia: jest sam.

I wtedy płakaliśmy wszyscy, jak dzieci, w tej małej sali zurychskiego kina. Złudzenie oczarowało nas wszystkich. Ale niedługo byliśmy smutni, gdyż dobry Bóg w swym czarnym surducie, ze swym wiecznym uśmiechem na twarzy przyszedł do Mojżesza, który poczuł jego ręce na swych ramionach, zamiast rąk swego narodu. „Panie, czy pomożesz im pod Jerycho? Przyrzekłem im Twą pomoc." — „Jestem tam przecież" — uśmiecha się Pan, — „czyż nie słyszysz?" I my również słyszymy z oddali piękną pieśń: „Jerycho, Jerycho zdobyte!"

Później widzimy bezprawie Nabuchadnezara. Pan gniewa się, gdyż nawet najwyższy kapłan wyrzekł się Boga, i postanawia nigdy już nie zstępować na ziemię, nigdy już nie pomagać uciskanym. Ale wówczas spostrzega z oddali, jak Chrystus niesie krzyż — wszyscy murzyńscy aniołowie płaczą. Ziemia staje się znów bliska sercu Pana!

Jak ze snu budzą się dzieci w szkółce niedzielnej. Wszystkie chcą naturalnie dostać się do nieba, do dobrego Boga i dlatego będą zawsze, zawsze grzeczne.

I my się budzimy w naszej małej sali i nie możemy określić dlaczego to wszystko było takie cudowne.

Przypomnijmy sobie, jaka trudność leży w przedstawieniu Biblii. Jak rzadko wielki nawet artysta waży się odtwarzać rolę Mojżesza. Trudno obrać którąś z dwóch dróg: szukać pierwowzorów, czy też, zgodnie z Bialikiem, zespolić pojęcia tych wszystkich pokoleń, które przeżywały Biblię? Po każdej prawie tego rodzaju próbie odchodzimy nie zaspokojeni. Prawie zawsze brak Wszechwiedzącemu wiele i wszystko inne również pozostaje niepełne. W Mojżeszu chcemy widzieć Biblię, Michała Anioła, legendę i przywódcę politycznego w jednej osobie.

— — —

I właśnie tu, w tym filmie uchwycono ten zamknięty, skończony obraz. A że tak jest naprawdę, że taki jest, lub był prawdziwy obraz Biblii, widziany przez Murzynów — tego nie musimy już nawet uczyć się z literatury, za tym przemawia sama harmonia, na której opiera się prawdziwe dzieło sztuki. Wyczuwa się tę prawdę z powietrza, z „firmamentu", z którego dobry Bóg Murzynów stworzył ziemię.

Tak murzyn opowiada Biblię...

I. Manger

Lekarz ubogich z Zamościa

(Doktór Szlojme Etinger 1800 - 1856)

Stara Żydówka gadała i gadała bez końca. Mełła językiem i terkotała jak młyn. Zanim wyrzekła jedno słowo już dziesięć innych czekało w pogotowiu, prąc naprzód i starając się ubiec jedna drugą. Dr Etinger siedział oparty łokciami o stół i słuchał w zamyśleniu.

— Bodajby cholera była wzięła cholerę, doktorze — pytlowała stara — bodajby była zczezła, zanim na świat przyszła. Czego ona chciała, doktorze, od mego zięcia, czego? Dopiero co był zdrów i cały, pracował i zarabiał i utrzymywał żonę i pięcioro dzieci. Aż tu nastała cholera i w jedne trzy dni położyła go trupem. Pozostawił mi córkę, nieszczęsną, niezaradną wdowę niebogę z pięciu drobnymi, nieszczęśliwymi dzieciętami nieboże bez żadnego zaopatrzenia. I teraz wszystko spadło na moją głowę, na mój kark, na moje plecy. A ja sama nieboga, doktorze, jestem także tylko starym, połamanym gratem. Ledwo się we mnie dusza trzyma, nieboże...

Dr. Etinger słuchał z nawpół przymkniętymi oczami i myślał, że stara ma oczywistą rację. Bodajby istotnie „cholera była wzięła cholerę, zanim na świat przyszła". Co za okropne spustoszenie narobiła ona w Zamościu. Prawie w każdym domu opłakiwano zmarłego.

On sam nie miał właściwie powodu uskarżać się na cholerę. Dzięki epidemii przypomniano sobie o jego istnieniu i o tym, że ukończył medycynę we Lwowie. Dotychczas ignorowano go i nie chciano uznać jego zagranicznego dyplomu. Dopiero gdy wybuchła cholera, władze zwróciły się do niego i wezwały go do walki z epidemią. Obecnie, gdy zaraza zaczęła już przemijać, przypomną sobie zapewne znowu o tem, że nie zalegalizował swego dyplomu i znowu zdegradują go do roli pokątnego felczera.

Tymczasem stara nie traciła ani sekundy czasu. Co doktór sobie myśli, niech sobie myśli zdrów, a ona trajkotała dalej jak młyn, wylewała przed nim całą gorycz i żal nagromadzony w swym sercu. Opowiadała szczegółowo i dokładnie o tym, jak ciężko jej utrzymać i wychować pięcioro wnuków i córkę wdowę niebogą, tym bardziej, że córka nieboga nie jest zdrowa, a ona sama nieboga też ostatnio niedomaga. Ma kłócie w boku — tu i tu — kaszel ją dusi, głowa ją boli, żółte plamy latają jej przed oczyma, bez obrazy boskiej!!!

Doktór wciąż przysłuchiwał się gadaniu staruszki i myślał przytem o tem, jak ładnie brzmi żydowski język. Zawsze lubiał się przysłuchiwać mowie prostego ludu. Co za pyszna mowa! Nie rozumie, doprawdy, dlaczego inteligencja odnosi się z taką pogardą do tej mowy. Dlaczego przezywa ją „żargonem". On, dr. Szlojme Etinger kocha ten język całym sercem. Jest mu drogi, bliski. Przesiaduje często późną nocą, gdy wszyscy domownicy już śpią i pisze w tym języku bajki, drobne opowiadania i fraszki.

Stara Żydówka prawiła dalej swoje.

— Przyszłam więc do was, panie doktorze, byście mi dali lekarstwo. Ale takie lekarstwo dajcie mi, panie doktorze, by nie drogo kosztowało. Skąd mam wziąć na drogie lekarstwo, kiedy jestem nieboga biedna, a mam na utrzymaniu córkę wdowę z pięcioma drobnymi robaczkami. Oj, ta cholera, panie doktorze, cholera, bodajby ją cholera była wzięła, zanim na świat przyszła!

Doktór wstał, zbadał starą i zapisał jej receptę. — Bagatelka, ciotuszko — oświadczył. — Nic wam złego nie jest. Wypijecie sobie tego picia, co wam tutaj zapisałem i za parę dni wszystko przejdzie. Będziecie jeszcze, z bożą pomocą tańczyć „brojgesa" na weselu najmłodszego wnuka.

Stara wzięła receptę i z łzawym rozczuleniem jęła błogosławić lekarza:

— Jesteście kochanym człowiekiem, panie doktorze. Niechaj wam Pan Bóg zapłaci za to, co zrobiliście dla mnie i dla takich biedaków jak ja.

Tak dziękując, mlamląc i stękając wysunęła się z pokoju.

— Niechaj wam Bóg zapłaci, panie doktorze... Dr. Etinger zaśmiał się sam do siebie. Od większości swych pacjentów słyszy on to samo. Ładną minę zrobi kiedyś Pan Bóg, gdy on, dr. Etinger przedłoży mu na tamtym świecie rachunki wszystkich biedaków, których leczył w ciągu swego życia. Na tamtym świecie będzie mógł sobie porządnie użyć za tę sumę. Za to na tym świecie gorzko mu i ciężko. Dochód ze wszystkich pacjentów starczy mu ledwo „na wodę do kaszy" jak mawia lud żydowski. Z tym jednak byłoby pół biedy. On ze swej strony nie uskarżałby się wcale na swój los. Tylko ona, żona jego Gołda, jest niezadowolona. Chodzi wiecznie z nosem spuszczonym na kwintę i docina mu przy każdej sposobności do żywego.

Prawdę powiedziawszy, to nawet trudno i jej też nie przyznać racji. Co ma począć, biedaczka, kiedy los zesłał jej męża takiego niedorajdę, któremu chce się tylko przesiadywać nad bajkami, fraszkami i drobnymi powiastkami. Nocami całymi przesiaduje w swym pokoju i pisze. „Tintlen" — nazywa tę pracę jego żona.

„Tintlen" — co za pyszne słowo, — myśli dr. Etinger. Zapisał je już nawet w swym notesie. Przyda się kiedyś do jakiej fraszki lub bajki.

Nie można powiedzieć, by się zgoła nie troszczył o to, że nie zarabia na utrzymanie. Rzecz ta boli go nawet dość dotkliwie, ale cóż na to może poradzić? Czyż nie chciałby pracować, zarabiać? Jeszcze jak by chciał! Ale jak powiada jejmość, żona jego Gołda: „S'iz niszt gefidelt un niszt geforn".

Gderanie połowicy sprawia mu wielką przykrość, tymbardziej, że w duchu przyznaje jej rację. Nie mniej jednak nie może zwalczyć swej słabości. Nawet jej docinki skrzętnie notuje. Albowiem dr. Szlojme Etinger jest poetą. Chyli głowę pod gradem jadowitych słów i jednocześnie odczuwa jej piękno, delektuje się nimi. W nocy przy biurku słowa te ożywają. Zwierzęta w jego bajkach mówią po żydowsku, więc każde słowo przyda się kiedyś, będzie jak znalezione. Gdy żmija w jego bajce zaczyna mówić — przemawia ona językiem połowicy, podczas gdy ta wpada w złość i syczy docinkami... Sss, Sss, Sss...

Dr. Etinger przechadza się po gabinecie. Chodzi długo tam i spowrotem. Tam spowrotem. Wreszcie zatrzymuje się przed szafą z książkami. Wzrokiem, pełnym miłości, patrzy na książki — jedyny skarb jaki posiada. Oto stoją jedno przy drugim dzieła niemieckich bajkopisarzy Gellerta i Lichtwera, epigramy Lessinga, poezje Teodora Körnera. Niedawno właśnie przełożył on balladę Körnera „Waleheid" na język żydowski. Z zadowoleniem stwierdził przy tym, że język żydowski nadaje się nie tylko dla bajek, i fraszek, lecz że można w nim oddać nawet fantastyczność ballady. Do wszystkich form poezji nadaje się ten język, byle tylko pojawili się powołani do tego mistrzowie.

Ze szczególną miłością spogląda dr. Etinger na spory tom dzieł Schillera, stojący na górnej półce jego biblioteczki. W tomie tym mieści się potężny poemat „Die Glocke" na wzór którego dr. Etinger napisał swój poemat „Dos Licht". U nich, u chrześcijan, towarzyszy człowiekowi od kołyski do grobu głos dzwonu. U Żydów czynią to świece, zapalane w czasie wszystkich ważniejszych momentów życia. Z prawdziwym mistrzowstwem opanował Etinger ciężką i skomplikowaną formę poematu. Dostosował rytm do każdego z opisywanych nastrojów. Inaczej płoną świeczki przy obrzędzie obrzezania nowonarodzonego syna a inaczej u wezgłowia umarłego. — Co za świetny język — myśli dr. Etinger o żydowskim języku. Na określenie każdej rzeczy na świecie posiada on właściwe słowo. Potrafi. być giętki i twardy, czuły i szorstki, potrafi szczebiotać jak dziecko i wyzywać jak przekupka. Umie mrugać okiem, ledwo napomykającej aluzji i umie doprowadzić do desperacji nadmiarem wylania i gadatliwości. Dr. Etinger cieszy się z tego, że pisze w języku, na którego piękności tak mało ludzi dotychczas się poznało. Szkoda tylko, że nie ma komu odczytywać swych utworów. Komuż to naprzykład będzie je odczytywał? Żonie swej, jejmość Gołdzie? Szczęśliw jest, gdy ona jego nie zaczepia. Oto napisał ostatnio dramat „Serkele" i ten leży u niego w szufladzie, a nikt nie wie nawet o jego istnieniu. Nieraz już o tym myślał, że trzebaby wszystkie te rzeczy ogłosić drukiem i sam się śmiał ze swego pomysłu. Musiało by to kosztować ogromną sumę pieniędzy, a skąd go na to stać, skoro i tak klepie biedę co się zowie i nie wiadomo jakim cudem dociąga co tygodnia do końca. Za każdym razem, gdy myśli o wydaniu swych pism doznaje ukłucia w samo serce. Dzieła, które leżą w szufladzie to istna „broche lewatule" — błogosławieństwo, które idzie na marne. Ale cóż on na to poradzi?

Z sieni dał się słyszeć donośny ostry głos. Ktoś pytał o doktora. Wypadek cholery.

Etinger otworzył drzwi. Przed nim stał posługacz zajazdu, chłopisko z kudłatą głową i płaskim nosem.

— Kto zachorował na cholerę?

— Nie tutejszy. Nazywa się Abram Ber Gotlober. Wczoraj wieczorem zajechał do naszej gospody, a dzisiaj zachorował.

Twarz doktora oblała się rumieńcem. Oczy jego zabłysły radością:

— Abram Ber Gotlober? Tu, w Zamościu?!

Nareszcie będzie miał komu przeczytać swoją „Serkele".

Zapomniał o tym, że wzywają go do chorego, który zapadł na cholerę. Dla niego Gotlober nie jest pacjentem, tylko sławnym pisarzem. Jemu to odczyta swój dramat i usłyszy jego opinię.

Dr. Etinger wbiegł do gabinetu, zamiast walizki z instrumentami schwycił gruby zeszyt z szyflady i puścił się pędem w stronę zajazdu.

Abram Ber Gotlober leżał w łóżku i czekał na lekarza.

Drzwi się otworzyły i dr. Etinger wpadł zasapany, nie mogąc tchu złapać.

Usiadł przy chorym i okiem lekarza poznał odrazu, że słynny maskil daleki jest od cholery. Conajwyżej mała niedyspozycja żołądkowa.

— Poco wam cholery — zawołał — przeczytam wam lepiej moją „Serkele".

I nie czekając na odpowiedź rozwinął rękopis i zaczął czytać:

„Serkele oder die Jorcajt noch a bruder, gor a naj teatersztyk in finf ojfcyjen"...

Dr. Etinger czytał jednym tchem, zachłystując się własnymi słowami. Gotlober słuchał z wielkim zainteresowaniem. Postacie dramatu wystąpiły przed nim jak żywe. czuł ich tchnienie w tym pokoju. Herod-baba Serka, siedzący u niej pod pantoflem mąż jej, reb Mojsze Dancygier, ich córki Frajde, Ałtele i t. d. i t. d.

Doktor czytał. Abram Ber Gotlober słuchał. Wskazówki dużego zegara na ścianie posuwały się coraz dalej, coraz bliżej wieczoru...

Gdy doktor skończył czytanie, Abram Ber Gotlober stał koło niego. Etinger wcale nie zauważył kiedy chory zeszedł z łóżka i ubrał się.

Gotlober położył rękę na ramieniu Etingera i rzekł mocnym głosem:

— Sztuka jest doskonała, doktorze. Wasza „Serkele" postawiła mnie na nogi. Czuję się zupełnie zdrów.

Długo, długo siedzieli jeszcze obaj razem. Rozmawiali o kwestiach Haskali i o pożyteczności pisania w żargoni. Słowa „żargon" używał tylko Gotlober. Doktor używał stale nazwy „jidysz".

Do domu wracał Etinger szczęśliwy, upojony. Parę dobrych słów, które Gotlober powiedział mu o jego utworach wlały weń nowe życie.

Trzeba wytężyć wszystkie siły — postanowił w duchu — by wszystkie moje dzieła ukazały się w druku. Czas już, dalibóg by lud, dla którego piszę, miał korzyść i przyjemność z moich pism, naukę i radość, zwłaszcza radość...

Doktór szedł wolnym krokiem. Niebo było ciemno granatowe i usiane gwiazdami. Doktór wciągał pełną piersią letni wiatr. Oczyma wyobraźni widział już Żydów czytających jego bajeczki, powiastki i jego „Serkele".

I nie przeczuwał ten miły, kochany doktór biedaków zamojskich, że nie będzie mu sądzonem ujrzeć za życia ani jednej książki swojej. Że dopiero w wiele, wiele lat później, po jego śmierci, za 100 lat prawie, pisma jego ujrzą światło dzienne i że dopiero wówczas literatura żydowska odkryje, pozna i uzna swego doktora Szlojmę Etingera — pierwszego „jidyszystę" i pierwszego dramaturga nowej literatury żydowskiej.

Dr M. Krämer

Nauka żydowska w Ameryce

Rozmowa z prof. S. Baronem

Salo Baron, prof. historii Żyd. na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku bawi obecnie w Palestynie i na zaproszenie Uniwersytetu Hebrajskiego wygłosił kilka odczytów o zagadnieniach społeczno-gospodarczych Żydostwa w XIX w. Odczyty te, wygłoszone w doskonałej hebrajszczyźnie wykazały wielką erudycję prelegenta, który zresztą nawiasowo rzucił szereg oryginalnych poglądów odnośnie Żydostwa współczesnego. Prof. Baron, autor kilku prac historycznych, ogłoszonych częścią w Ameryce (gdzie ostatnio wraz z Marxem redagował Księgę Pamiątkową Kohuta) odbywa obecnie podróż po kilku centrach życia żyd. — z Palestyny udaje się do Rosji, zawita w drodze do Polski, Rumunii i t. d. korzystając z jego pobytu w Jerozolimie zwróciłem się doń z prośbą o najogólniejszy szkic sytuacji nauki żydowskiej w Ameryce w ostatnich kilku latach. Jeśli w ogólności dosyć słabe mamy wyobrażenie o całokształcie życia żyd. w Ameryce, to tym mniej znamy jego działalność na polu nauki. A przecież jest to największe centrum osiedlnictwa żydowskiego, obejmujące 25 proc. całego Żydostwa, mogącego wiele zdziałać dla nauki żyd., zwłaszcza, że jest ono skupione w kilku największych miastach Ameryki (około 75 proc. Żydów amerykańskich mieszka w 10 miastach).

W sensie najogólniejszym — rozpoczyna swoje wywody prof. Baron — można stwierdzić, że większość badań naukowych żydostwa amerykańskiego dotyczy zagadnień „religijnych", zamyka się w ramach zbliżonych do „wissenschaft des Judentums" w Niemczech w ubiegłym stuleciu. Tkwi w tym poniekąd pewien pierwiastek asymilacji, bo i w nauce amerykańskiej badania nad Biblią, filologią języków semickich i filozofią są bardzo rozpowszechnione. Poważny w niej udział biorą rabini, a i instytucje, które w zasadzie założone zostały dla podjęcia badań naukowych żyd. w sensie najogólniejszych, przekształciły się najczęściej w seminaria rabinackie. Nauka żydowska koncentruje się poniekąd w tego rodzaju instytucjach, jak Jewish Theological Seminary w Nowym Jorku i Cincinati, seminarium im. Icchak Elchanan, w t. zw. „dropsie college" w Filadelfii, seminariach nauczycielskich w Nowym Jorku (dwa) jak w Bostonie (gdzie część wykładów odbywa się w języku hebr.) i w Chicago. Niektóre z nich uzyskały prawo publiczności i nadawania tytułów akademickich. Pozatym na poszczególnych uniwersytetach istnieją nieraz specjalne katedry jak np. dla hist. żydowskiej w Columbia filozofia żyd. w Harwat, albo też w zakresie ogólnym katedry dla języków semickich, historii religij i t. p., w innych wreszcie lektoraty o żydostwie, utrzymywane ze specjalnego funduszu („Bibel-Fundation"), na których wykładają najczęściej miejscowi rabini. Ostatnio powstał też instytut jidyszowy, zbliżony do IWO, o prawach uniwersyteckich, wyżej wymienione instytucje skupiają w sobie szereg znanych sił naukowych, przeważnie zresztą nie-Amerykan z urodzenia, jak i wychowują nowe siły nauczycielskie, rabinat a i w pewnej mierze pracowników naukowych.

Istnieją jednak specjalne instytucje dla celów naukowych, z których najważniejszymi są: 1) akademia dla badań żydowskich, wydająca swe roczne sprawozdania i starająca się przyjść z pomocą badaczom, jak dotąd jednak, w bardzo słabym stopniu, 2) akademia nauki i wiedzy, która ma zresztą za cel i naukę nieżydowską, 3) American Jewish Historical Society, istniejące od 1892 r., wydające rok rocznie sprawozdania, zawierające prace i referaty naukowe, 4) IWO, które było dotąd poniekąd filią centrali w Wilnie, teraz zaś podejmuje samodzielne prace. Poza tym do rozwoju nauki żyd. przyczyniają się swoją działalnością: związek rabinów reformowanych i konserwatywnych (Central Conference of American Rabbis), który wydał już kilkadziesiąt tomów sprawozdań, związek nauczycieli, grupa działaczy pedagogicznych (wydająca czasopismo „Jewish Education"). Ważne jest przede wszystkim towarzystwo /wydawnicze, liczące około 5000 członków, Jewish Poblication Society, które ostatnio przystąpiła do wydania co roku kilku popularno-naukowych dzieł o charakterze klasycznym (jak np. dzieła Luzatto), podając w nich zwykle 2 teksty oryginalny i angielski. Najwięcej jednak nadziei wiąże mój interlokutor w nowo powstałą instytucję, założoną przez filozofa Kohena, „Conference of Jewish Relacion", która pragnie skoncentrować wszelkie prace naukowe i przystąpić do wydania poważnego czasopisma naukowego. Wartość naukową posiada też „The Jewish Quarterly Review" wychodzący w Filadelfii. Tu i ówdzie pojawia się coś zasługującego na uwagę w prasie żyd. („Tog", „Forwerts"), angielsko-żyd. („American Hebreu", American Izraelity") oraz hebrajskim „Hadoar", którego roczniki mają pewną wartość literacko-naukową.

— Jaki jest stan badań gospodarczych i statystycznych

Muszę niestety stwierdzić, że dosyć niski. Zarówno American Jewish Congres, jak i Amer. Jew. Comitee, zajmują się nimi dorywczo, a jedynie związek pracowników organizacyj finantropijnych założył niedawno biuro dla badania stosunków społeczno-gospodarczych w Ameryce, oczywista w ramach działalności filantropijnej. Nieco zainteresowania wykazuje też ostatnio w tym kierunku Bnej-Brith. Biura jednak ekonomiczno-społecznego, w ścisłym tego słowa znaczeniu, takim choćby jak Cekabe w Polsce niema. Każda zresz-

próba **statystyki** żydostwa amerykańskiego napotyka na duże trudności, z których jedna jest najbardziej może przykra: ukrywanie swego pochodzenia. Zjawisko to wywołane jest zresztą nietylko asymilacją, ile walką o byt — wiele przedsiębiorstw, nawet żydowskich nie chce zatrudniać Żydów. Pewne zaś próby statystyki „okrężnej" jak np. przez wnioskowanie z ilości zmarłych, nieobecnych dzieci w szkołach publicznych w Jom Kipur itp. budzą wiele zastrzeżeń.

— Jak się przedstawiają możliwości pracy naukowej?

— Pomijając względy finansowe, przedstawiają się one wyśmienicie. Ameryka może się poszczycić wspaniałymi i pierwszorzędnymi bibliotekami, z których np. miejska w New Jorku liczy zgórą 2 miliony pozycyj, Uniwersytetu Columbia 1½ miliona. Obejmują one bogaty dział przedruków, wśród których nie brak i wielu cennych rękopisów (np. w Columbia znajduje się około 1000 rękopisów, w tym wiele średniowiecznych). Potężną bibliotekę judaistyczną posiada seminarium rabiniczne w Nowym Jorku (największą na świecie), Towarzystwo Historyków i in. Materiału więc nie brak a i w ostatnich latach powstała grupa młodych badaczy żyd., którzy w odpowiednich warunkach mogą wiele dokonać.

Jeśli jednak zapytuje mię Pan o ogólny stan i charakterystykę, to sytuacja w dziedzinie nauki żyd. w Ameryce nie jest jak najlepszą. Nie tylko wśród amerykańskich organizacyj, ale i wśród licznych „Landmanschaften" niema zbytniego zainteresowania dla nauki. Jeśli udaje się już przyciągnąć pewne warstwy dla spraw żyd., to inicjatywa ich wyczerpuje się głównie w działalności filantropijnej i religijnej. Z jednej strony nie bez znaczenia jest kryzys ekonomiczny, z drugiej zaś wypadki w Niemczech, Polsce, a częściowo i w samej Ameryce, co obudziło w pewnj mierze poczucie przynależności narodowej. Widoczny jest jednak duży postęp w tej dziedzinie w ostatnich latach, wierzę, że potrafimy w Ameryce stworzyć jedno z głównych centrów nauki żydowskiej.

Jerozolima, w maju 1937.

LOLA SZERESZEWSKA.

O książkach

Utwór nagrodzony III-cią nagrodą na konkursie na wiersz o książce

Szeregiem, niby flaszki w bogatej piwnicy . .
Stoją książki na półkach, pełne krzepkiej treści —
Sfermentowane soki mózgów ludzkich mieści
Jednako silny trunek druku, jak winnicy.

Więc kto ma słabą głowę pije po próżnicy,
Daremnie z żółtych kartek zżółkle czerpie wieści,
Daremnie żółtym winem wzrok zmącony pieści:
Zamroczy go smak słowa, jak napój w szklanicy.

I tylko znawca zwolna sączy sok mądrości.
Ku światłu wznosi puhar, światło w winie gości.
Ku światłu wzrok podnosi z nad światłych foliałów —

Łyk za łykiem, powoli, czerpie wieść jak wino,
Mózg żywi sokiem świeżym, jak odżywczym płynem,
I czyta tak, jak pije i wciąż ma za mało.

Murarz

Słowa jak krwawe cegły ściśle jednoczę w całość,
Pomiędzy niebem a ziemią, w przestrzeń otchłanną wpięty,. .
Spajam szczytowe ściany, pracą skupioną i dbałą,
Na rusztowaniu drewnianym, niby na krzyżu rozpięty.

Daleko mi już do ziemi, odchodzę piętro po piętrze,
Coraz to bliższy obłokom, coraz to bliższy aniołom.
Ludzie stąd coraz mniejsi, ptaki stąd coraz większe —
Układam bryłę na bryle twardym, człowieczym mozołem.

A gdy mnie skrzydło jaskółki zwiewną pieszczotą potrąci,
Gdy wiatr życzliwie podszepnie słowa najprostsze, tajemne
Wówczas umieszczę u szczytu wieniec na wstęgach płynący,
Lub strzaskam głowę o asfalt, ciężko spadając na ziemię.

ANTENA ŚWIATA

Dziewczęta sowieckie na Dalekim Wschodzie

Do Charbowska zaczynają już przybywać pierwsze partie dziewcząt, wysyłanych z Rosji Europejskiej do pracy na Dalekim Wschodzie. Dwie pierwsze partie z Leningradu zostały osobiście przyjęte przez marszałka Blüchera, dowódcę Armii Dalekiego Wschodu. Większość przybyłych posiada wyższe wykształcenie (prawne i pedagogiczne), oprócz tego, przed wstąpieniem na uniwersytet, były one cieślami, ślusarzami, betoniarzami, inne posiadają dyplomy lotniczek, strzelców i t. d.

Dziewczęta otwarcie wyjaśniły marszałkowi, że nie jest dla nich tajemnicą przyczyna zaproszenia ich na Daleki Wschód: nie sprowadza się ich w charakterze wyłącznie robotnic, lecz także w charakterze narzeczonych. Lecz one nie reflektują na narzeczonych z Dalekiego Wschodu, i niektóre przywiozły ze sobą narzeczonych z Rosji Europejskiej. Blücher oświadczył, że nie ma on nic przeciwko sprowadzeniu „jeńców". „Jeńcy" — było ich zaledwie 9 — zostali również przedstawieni marszałkowi.

W ciągu rozmowy wytłumaczył im Blücher, że nie ma dla nich na Dalekim Wschodzie żadnych kontraktów. Każda przybyła (wspólnie z „jeńcami") ma prawo najzupełniejsze wybrać sobie zawód i miejsce pracy. Większość wyraziła chęć pracy w prokuraturze i pedagogice. Część udaje się na Kamczatkę i Sachalin, większość jednak pozostanie w okolicach Chabarowska.

Kryzys prasy prawicowej

Prawicowa prasa paryska przeżywa obecnie kryzys, którego przyczyny jednak nie wszędzie są jednakowe. Konflikt pomiędzy naczelnym redaktorem a administracją doprowadził w „Echo de Paris" do wystąpienia naczelnego redaktora. I aczkolwiek obecna redakcja usiłuje wytłumaczyć to wystąpienie nieporozumieniem na tle polityki administracyjnej pisma, jednakowoż trudno uwierzyć tym zapewnieniom, chociażby jeszcze z tej przyczyny, że razem z Henri Simond'em wystąpili prawie wszyscy wybitni współpracownicy pisma. Z wybitnych pozostał jedynie Pertinax.

W ciągu ostatnich paru lat nakład tygodnika „Gringaire" ciągle wzrastał. Pismo to każdego tygodnia w ciągu wielu lat podawało informacje o wielkości swego nakładu. W czasie kampanii przeciwko Salengro wydawano ponad 800 tys. egzemplarzy. Od pewnego czasu zaniechano informacji o wielkości nakładu; tłumaczy się to tym, że obecnie sprzedaje się coraz mniej egzemplarzy. Tygodnik stracił dziesiątki tysięcy swych czytelników w związku ze sprawą Salengro.

Także pisma „Ami du peuple" i „Liberté" przeżywają silny kryzys finansowy. W „Ami du peuple", piśmie cieszącym się do niedawna dużym powodzeniem jest obecnie tak źle, że redakcja zastanawia się czy zamknąć gazetę, czy też wydawać ją w zmniejszonym formacie czterostronicowym. Natomiast akcjonarjusze „Liberté" mają inny dylemat do rozwiązania, mianowicie, Doriot chce odkupić to pismo i zamienić je na organ francuskiej partii narodowej. Współpracownicy pisma są przeciwni tej koncepcji, gdyż Doriot ma zamiar wszystkich zwolnić i na ich miejsca wprowadzić swoich ludzi.

Przestało wychodzić słynne humorystyczne pismo „Rive", ongiś najlepsze w Europie. W ciągu ostatnich paru lat „Rive" zaczął tracić prenumeratorów, pismo przyjęło charakter skrajnie prawicowy. Od czasu rządów „frontu ludowego" głównym przedmiotem jego satyrycznych strzał stał się Blum; pismo zaczęło uprawiać kurs antysemicki.

Co złożyło się na upadek tego, bądź co bądź, bardzo poczytnego tygodnika, czy przyczyny natury politycznej czy też ogólny upadek karykatury we Francji, nie wiadomo. W każdym razie po przeszło czterdziestoletnim istnieniu, przed paru dniami „Rive" przestał ostatecznie wychodzić.

Schünzel i Goebbels

Jak podaje „British United Press" słynny niemiecki reżyser filmowy Reinhold Schünzel zmuszony był uciec z Berlina do Wiednia. Ucieczkę spowodowało to, że ostatni film jego dopiero co ukończony: „Tajemnica miłości" wywołał oburzenie Goebbelsa. Film kręcono pod nadzorem ministra propagandy. Reżyser włączył jednak do całości kilka nieprzyjemnych dla regime'u scen, które doprowadziły Goebbelsa do wściekłości. Dowiedziawszy się o tym, Schünzel szybko zwiał, nie licząc na to, że sam Hitler jest jego wielkim wielbicielem. Dotychczas ta sympatia Hitlera dawała mu możność pracy w Niemczech, mimo jego zaledwie ćwierć aryjskie pochodzenie.

Spotkanie Hitlera z Mussolinim

W „Echo de Paris" czytamy: Jeśli „Hitler i Mussolini, aczkolwiek różnią się temperamentami, pretendują każdy na pierwsze miejsce w systemie państw totalitarnych, to przy obecnym stanie rzeczy muszą prowadzić prawie że identyczną politykę. W takich okolicznościach ich osobiste porozumienie staje się sprawą nieuniknioną". Możliwe, że „Mussolini zechce wykorzystać to spotkanie przy otwarciu nadzwyczajnej sesji Ligi Narodów, która oficjalnie będzie miała za zadanie sprawę przyjęcia Egiptu, lecz w rzeczywistości zajmi się likwidacją abisyńskiej historii".

Tak czy naczej, „nie ulega wątpliwości, że włosko-brytyjskie „dżentelmeńskie porozumienie skończyło się". Prawdę mówiąc, nigdy ni miało ono określonej treści, i cały cel jego polegał na przebiciu wyłomu w murze, oddzielającym Włochy od W. Brytanii. Obecnie, w cztery miesiące po podpisaniu umowy, mur ten jest jeszcze wyższy i grubszy. Mussolini uważa, że brytyjskie zbrojenia skierowane są przeciw niemu — dlatego zdecydowany on jest na natychmiastowe wprowadzenie w życie swych planów na morzu Śródziemnym wcześniej, aniżeli Anglia zdoła przywrócić sobie dawniejszą hegmonię".

Dlatego potrzebne mu jest poparcie Niemiec. „Mussolini pomimo licznych usług okazywanym Niemcom w Wenecji, w Wiedniu, w Budapeszcie i Bukareszcie, dotychczas nie otrzymał od Hitlera przyrzeczenia poparcia. Niemcy wszelkimi sposobami chcą uniknąć ryzyka wojennego, jak tylko wchodzą ich własne interesy w grę. Czy uzyska Mussolini coś więcej od Führera, aniżeli uzyskał od Goeringa i von Neuratha?"

Ameryka a koronacja

W Stanach Zjednoczonych odczuwa się bardzo zbliżające się uroczystości koronacyjne. Wszystkie amerykańskie artykuły mody noszą na sobie piętno tych uroczystości. Za kilkanaście centów można nabyć w sklepach new - yorskich piękną imitację słynnego diamentu „Gwiazda Indii", zdobiącego angielską koronę królewską: W magazynach sukien damskich wystawione są wszędzie modele, jakie mają nosić podczas koronacji arystokratki angielskie, a Amerykanki nabywają chętnie suknie, sporządzone według tych modeli, które często są bardzo kosztowne.

Importowane z Anglii pamiątki koronacyjne pod postacią porcelanowych filiżanek, spodków, kubków, talerzy, popielniczek i t. d. cieszą się takim popytem, że kupcy nie mogą ich nastarczyć. Dostać nawet można krótkie do kolan spodnie, pończochy jedwabne i trzewiki z klamrami, jakie nosić mają panowie angielscy podczas uroczystości.

Nie dość na tym. Restauracje wszystkich większych miast amerykańskich sporządziły jadłospisy koronacyjne, w barach proponują klientom koronacyjne coctaile, a sprzedawcy lodów nadają swoim wyrobom kształty zamku windsorskiego, postaci królewskich i klejnotów koronacyjnych.

Oczywiście, prasa amerykańska, tak chciwie usiłująca przypodobać się gustowi mas i umiejąca wyzyskać sensację danej chwili, przepełniona jest obrazkami, artykułami i choćby najbanalniejszymi plotkami, tyczącymi się uroczystości londyńskich; wiele zaś dziennikcw zaprowadziło specjalne dodaki koronacyjne.

Oficjalny program uroczystości koronacyjnych, sprowadzony do Ameryki w liczbie 50 tysięcy egzemplarzy, wykupiono w ciągu jednego dnia.

Curiosa koronacyjne

Naumyślnie czy też przypadkowo otrzymali panowie von Ribbentrop i von Blomberg miejsca w opactwie Westminsterskim przy przedstawicielach republikańskiej Hiszpanii Bestenranie i Askarte, a hrabia i hrabini Grandi w jednym rzędzie z Litwinowem i Majskim. Przy tej okazji prasa londyńska przypomina, że podobny „precedens" miał również miejsce w czasie niedawnej afrykańskiej podróży Mussoliniego, kiedy przedstawiciel Ż. A. T.-icznej otrzymał miejsce w tym samym samochodzie co przewodniczący związku pism rasistowskich.

Film koronacyjny

W dwie godziny po zakończeniu uroczystości, arcybiskup Canterbury i książę Norfolk, oglądali w jednym z kin londyńskich, film koronacyjny. Było to właściwie mówiąc posiedzenie Komitetu Cenzury. Seans trwał godzinę i 20 minut. Cenzorowie zakwestionowali zaledwie jedną scenę: na pierwszym planie królowa Mary podnosi chusteczkę do oczu w czasie ceremonii. Następnie przeprowadzono cenzurę techniczną: zostały wycięte wszystkie sceny podwójne (jedno i to samo zdjęcie robiono z różnych miejsc) oraz sceny przydługie. W rezultacie z taśmy długości 3.000 m. pozostało zaledwie 350 m.; i ta właśnie oficjalna wersja będzie pokazywana na całym świecie.

Metro Goldwyn Meyer na wystawie 1937 r.

Na wystawie paryskiej w pawilonie amerykańskim Metro Goldwyn Meyer nadawać będzie stale dokładny reportaż o powstawaniu filmu, począwszy od chwili napisania scenariusza aż do ostatnich chwil montowania. W ten sposób publiczność będzie miała możność przekonania się z jakim wielkim nakładem pracy i trudnościami związane jest wykonanie przeciętnie dużego filmu.

Najdroższe pantofle świata

Fabrykanci obuwia z Kanady przesłali jako prezent dla królowej Elżbiety parę pantofli, będących najdroższym i najcenniejszym okazem sztuki szewckiej. Pantofle te ozdobione są diamentami, rubinami i perłami w ogólnej liczbie 2300 sztuk. Jubilerzy tym razem, a nie szewcy, oceniają wartość drogocennej pary pantofli na sumę 14 tys. dolarów. Królowa zapewne nie będzie nosić tych pantofli, które znajdą swe miejsce w zbiorach pałacu Buckingham.

Strajk w Hollywood

Aczkolwiek na razie zostało usunięte niebezpieczeństwo natychmiastowego strajku w Hollywood, tym nie mniej sytuacja w stolicy filmu jest ciągle naprężona. Amerykańskie pisma filmowe podają niezmiernie ciekawe wyjaśnienie obecnej sytuacji.

Oczywiście, że ruchy strajkowe nie zostały spowodowane żądaniami podwyżki płac: w Hollywood wszyscy pracują, zarabiają świetnie. Przczyny tkwią daleko głębiej. W ubiegłym roku Sinclair Levis znany ze swych skrajnie lewicowych przekonań, kandydował na stanowisko gubernatora Kalifornii. Jego program zawierał, pośród licznych reform, nacjonalizację wytwórczości filmowej.

Sinclair Levis nie został gubernatorem, lecz idea jego odniosła niezwykły sukces. Nacjonalizacja filmu została włączona do żądań skrajnych elementów ruchu robotniczego i ruch, który się obecnie rozpoczął w Hollywood, dąży do tego właśnie celu. Kieruje ruchem James Cagney, skrajnie lewicowy socjalista, któremu wielce pomocną jest Joan Crawford. Należy zaznaczyć, że ze względu na swe tendencje, wytwórczość hollywoodzka jest narodowa i stara się podtrzymywać Roosevelta w jego pracach reformatorskich. Niektóre filmy owijane są wyraźnym duchem propagandy: jedne chwalą „new-deal", inne znowuż nawołują do walki ze spekulacją, trzecie pokazują bohaterstwo władz w walce z gangsterami i t. d. ,

W ten sposób atak na magnatów hollywoodzkich prowadzony jest wyłącznie po linii socjalnej; przywódcy ruchu uważają, że kolosalne bogactwa i środki propagandy skupiło w ręku kilka dziesiątków ludzi, co może stanowić wielkie niebezpieczeństwo dla społeczeństwa.

Parę słów o wydawnictwach

W Ameryce i Anglii opublikowane zostały sprawozdania wydawnicze za rok ubiegy. Liczba wydawanych książek rośnie wciąż w tych krajach, aczkolwiek daleko jest jeszcze od cyfr z r. 1928. Kryzys nastąpił w 1932 r., od tego czasu jest co raz lepiej. W Ameryce wydano w ubiegłym roku 8766 książek, w Anglii — 16110 t. j. prawie dwukrotnie więcej.

Ciekawy szczegół: tu i tam wzrasta liczba tłumaczonych książek. To samo daje się zauważyć i we Francji, gdzie w XIX wieku na osiemset wydawanych książek francuskich wydawano zaledwie jedną tłumaczoną.

Signum temporis! — Suche cyfry czasem mówią więcej o przemianach kulturalnych, aniżeli wielotomowe rozprawy.

Hasi

We Wiedniu o nikim innym tyle się nie mówi, ile o czteroletnim „Hasi". Kto i gdzie pierwszy odkrył „męskie" wydanie Shirley Temple, właściwie nie wiadomo. Pewne jest tylko, że przyszły Jackie Coogan urodził się i wychował wśród biedoty wiedeńskiej. Czar tego dzieciaka jest tak wielki i bezpośredni, że wszyscy, którzy się z nim zetknęli, przekonani są, że jeśli nie zaćmi, to z pewnością dorówna znanym dotychczas „cudownym dzieciom" i stanie się siłą atrakcyjną austriackiej sztuki filmowej.

O ile w ogóle film austriacki będzie jeszcze prowadzić żywot samodzielny i wyzwoli się spod materialnej i moralnej zależności od Niemiec.

(L—y)

A. G. ARCI — Dwa wydarzenia

(dokończenie ze str. 3).

Układ, podpisany między „Histadrut" (Ogólną Organizacją Robotników Żydowskich Palestyny) a organizacją robotników rewizjonistycznych w sprawie rozdziału pracy w budownictwie i robotach publicznych, jest dokumentem o znaczeniu, wykraczającym poza ramy lokalne. Układ ten (jeśli zostanie dotrzymany) kładzie przede wszystkim kres toczącej się od lat, permanentnej wojnie na rynku pracy i uwalnia w ten sposób nasze wewnętrzne życie polityczne od jednego z najważniejszych ognisk niepokoju, z którego zawsze łatwo było czerpać popularny materjał agitacyjny, jak to panująca lewica nie dopuszcza inaczej myślących do pracy itd. itd. Faktem jest, że z robotnikami mizrachistycznymi i agudowskimi, którzy także mają odrębne organizacje, Histadrut zawarł porozumienia i unormował stosunki od dawna. Rewizjoniści byli jedyni, z którymi nie można było ustalić modus vivendi. Nic dziwnego zresztą, gdy się zważy, jak trudno partii, która widzi rację swego istnienia w nieustannym zwracaniu uwagi na siebie, zrezygnować z periodycznych zatargów o pracę i tym podobnych miłych okazji reklamowych.

To się teraz powinno skończyć. Uzgodniono, że wszystkie roboty budowlane i publiczne (układ przewiduje zawarcie w przyszłości dalszych umów odnośnie innych dziedzin pracy) będą rozdzielane proporcjonalnie między wszystkich robotników przez wspólne biura pośrednictwa pracy, których kierownictwa będą również proporcjonalne. Przypomnijmy w tym miejscu, że właśnie ten ostatni przepis był powodem utrącenia przez prawicę na ostatniej sesji Syjonistycznego Komit. Wykonawczego wniosku I. Grünbauma w sprawie wspólnych biur pośrednictwa pracy w koloniach. Prawica żądała mianowicie wprowadzenia przepisu, któryby uniemożliwił większości osiągnięcie więcej niż 50% mandatów w kierownictwie biura i gwarantował połowę mandatów mniejszościom bez względu na ich siłę liczebną. Rewizjoniści, a więc najskrajniejsi ze skrajnych, zgodzili się teraz na to, czego nie chcieli przyjąć ogólni syjoniści grupy B.

Jest wiele pikanterii w tej zgodzie właśnie rewizjonistów na to, że kierownictwo biura pośrednictwa pracy (którego znaczenie w kraju imigracji i zorganizowanej pracy, jakim jest Palestyna, nie da się wogóle porównać ze znaczeniem takiegoż biura np. w Polsce) będzie wybierane proporcjonalnie, t. zn. że „Histadrut", zrzeszający przeważającą większość robotników, będzie w nim zdecydowanie dominował, że wśród urzędników biura będzie 60 procent przedstawicieli „Histadrutu", a tylko jego zastępca rewizjonistą, że w imieniu wszystkich robotników określonego miejsca pracy będzie występował komitet, wybierany proporcjonalnie, itd. Układ zabezpiecza prawa rewizjonistów i innych mniejszości, o ile przyłączą się do układu, tworząc komisję kontrolującą na zasadach parytetu. Ale zabezpieczenie to jest właśnie typową ochroną praw mniejszości.

Cóż w tem na pozór dziwnego, że mniejszość jest mniejszością? Otóż właśnie: jeśliby chcieć sformułować głębszy podkład wszystkich perypetii rewizjonizmu, należałoby chyba zatrzymać się przede wszystkim na organicznej niezdolności tej partii (albo może tylko jej wodza) pogodzenia się z rolą mniejszości w demokratycznym społeczeństwie, w którym mniejszość ma pełną możność ubiegania się o zostanie większością, ale uznaje też wolę tej ostatniej, choćby stanowił ją chwilowo kto inny. Rewizjoniści nie chcieli się nigdy pogodzić z faktem, że większość, w danej chwili przynajmniej, nie jest z nimi. Stąd próby narzucania swojej woli obstrukcją i terorem, stąd— gdy to nie poskutkowało — porzucanie organizacji ogólnych (syjonistycznej, robotniczej, samoobrony itd); tworzenie organizacji separatystycznych, stąd inscenizacja kongresu o liczbie wyborców „większej, niż na kongres syjonistyczny" itd. Na tym tle dopiero nabiera wyrazistości ostatni czyn organizacji robotników rewizjonistycznych.

Nie jest przypadkiem, że to właśnie robotnicy dokonali tego wyłomu. Rewizjonizm bujał zawsze w obłokach czystej polityki bez żadnego kontaktu z konkretną pracą w Palestynie. Wystarczyło widocznie, aby garstka rewizjonistów zetknęła się z twardym życiem palestyńskim, żeby nastąpił jednak po kilku latach jakiś przełom w ich psychice, który przysposobił ich do tego, by dla spraw realnych (układ doszedł do skutku pod naciskiem Rutenberga w związku z budową nowej elektrowni pod Tel-Avivem; rewizjonistom zależało na otrzymaniu pracy przy tych wielkich robotach) pogodzić się z rzeczywistością. „Od powietrza palestyńskiego się mądrzeje", powiada stare talmudystyczne przysłowie...

Tel-Aviv, 18. 5. 37.

KRONIKA LITERACKA

POEZJE RACHELI KORN.

Utalentowana poetka żydowska Rachela Korn wydała ciekawy tom wierszy pt.: „Rojter Mon" (czerwone maki). Zbiór ukazał się nakładem Biblioteki Żyd. P. E. N.-Clubu w Warszawie.

NIEMCY HITLEROWSKIE PRAGNĄ — WOJNY TROJAŃSKIEJ.

Sztuka znanego dramaturga francuskiego Girandoux'a „Wojny trojańskiej nie będzie", grana niedawno z wielkim powodzeniem w „Theater an der Josephstadt we Wiedniu, miała być również wystawiona w Niemczech, lecz ze względów cenzuralnych, nie będzie grana. Sztukę Girandoux'a skonfiskowano również w wydaniu książkowym.

ARCYKSIĄŻĘ JÓZEF FRANCISZEK HABSBURG — POETĄ.

Arcyksiążę Józef Franciszek wydał tomik poezyj, częściowo o tendencji politycznej. Cykl swoich wierszy zatytułował „Cierpienia Węgier" i wypowiada się w nich za rewizją i **korekturą** granic Węgier. Prasa węgierska bardzo przychylnie ocenia tom poezji arcyksiecia.

JUBILEUSZ WYBITNEGO HISTORYKA.

Wybitny historyk i senior gminy sefardyjskiej w Nowym Jorku rabin Henri Mendes obchodził w tych dniach jubileusz 85-lecia swoich urodzin.

„HISTORYCY" HANDELSMANA.

Nakładem księgarni F. Hoesicka ukazał się tom szkiców profesora Handelsmana p. t. Historycy. Na specjalną uwagę zasługuje artykuł o Józefie Piłsudskim, jako historyku.

„ODRODZENIE" BRENTANO.

Wydawnctwo „Płomień wydało doskonałą monografię o odrodzeniu póra wybitnego znawcy tej epoki — Brentano'a. Książkę przełożył świetny tłumacz dr Edward Boye.

KINO

„ZABRONIONE SZCZĘŚCIE" EUROPA

Film „Zabronione szczęście", przedstawiający okres walk między Anglią a Irlandią przypomina szereg powieści angielskich, opiewających ten sam temat — z tą tylko różnicą, że, trzeba to przyznać, w filmie tym sprawa angielko-irlandzka przedstawiona jest z większą obiektywnością niż w tego rodzaju książkach. Film zresztą tak samo naiwny, psychologicznie, tak samo nieumotywowany i nieprzekonywujący. Konflikt bohaterów między ich ideami, a uczuciami osobistymi jest tak irracjonalnie zarysowany, tak niewiarygodny, że aż śmieszny. Typy ludzi — zarówno z jednego, jak i drugiego obozu przedstawione zbyt kontrastowo, zbyt skrajnie — nie przekonywują o prawdzie swoich przekonań, czy pragnień, raczej każą szukać tej prawdy po stronie przeciwnej.

Reżyseria tego filmu poprawna, nie wnosi jednak nic nowego, nie daje nawet ani jednej specjalnie interesującej sceny, zaś moment śmierci bohatera, nasuwający bardzo mocne wrażenia niestety nie został należycie wyzyskany.

Z aktorów wyróżnia się tylko Merle Oberon, która poza piękną twarzyczką posiada również dużo inteligencji i kultury.

„DOROŻKARZ Nr. 13" — PAN.

Nazwisko Wiecha, umieszczone na afiszach i będące największą zachętą tego filmu niestety nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Poza paroma dosadnymi iście „wiechowskimi" powiedzeniami trudno znaleźć w tym filmie coś z atmosfery tego dowcipnego felietonisty. Treścią filmu jest, jak zwykle w polskich komediach, nieporozumienie. „Dorożkarz Nr. 13", któremu fortuna się uśmiecha wygrywa większą sumę pieniędzy i zaczyna „odgrywać" (bez powodzenia zresztą) wielkiego pana w celu zdobycia arystokratycznej „panny na wydaniu". Szereg wynikłych z tego qui pro quo, pobudza nawet czasem do śmiechu, nie śmiejemy się jednak z zabawnych sytuacyj — przeciwnie, sytuacje te są raczej trywialne i niesmaczne niż dowcipne.

A co jest już największym błędem tego filmu i winą reżysera to nieumiejętne dobranie i wyzyskanie obsady aktorskiej.

Po za Sielańskim, który robił co mógł, aby wykrzesać ze swego dorożkarza trochę prawdziwego humoru i komizmu — nikt nie czuł się na swoim miejscu: ani Żelichowska, w roli zakochanej uczennicy, ani Andrzejewska, jako płaczliwa przyjaciółka głodujących bezrobotnych. Ćwiklińska i Grabowski jak zwykle niezawodni nawet w swych małych, nie interesujących epizodach.

T. S.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM · Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa